

# Magiczny papierek

Kaflńska Jadwiga



calibre 0.9.27

Powieść co miesiąc - 107 - Powieść co miesiąc

*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

Jadwiga Kaflńska

## **Magiczny papierek**

ISKRY Warszawa 1979



Profesor Wielowieyski, dyrektor zakładu dla nerwowo chorych, niecierpliwił się bardzo. Co chwila spoglądając na zegarek, wędrował od otwartych drzwi gabinetu do okna, z którego widać było park, bramę wyjazdową oraz fragment drogi; oczekiwany samochód nie pojawiał się jednak na horyzoncie.

Do hallu wbiegła młoda kobieta z walizką w reku. Była dość wysoka, smukła, długonoga, ciemne, lśniące włosy spadały jej na ramiona, błękitne oczy ocienione długimi, podwiniętymi rzęsami patrzyły na świat zachłannie i z nadzieją. Ubrana była w zgrabny, wiosenny płaszcz popielatego koloru oraz w filuterną malinową czapkę.

Profesor zszedł szybko na dół i ujął rękę pacjentki w swoje mocne, uspokajające dłonie.

- Tak się cieszę, pani Krysiu, że to, co złe, już jest poza panią i że rozpocznie pani teraz nowe, chyba lepsze życie; ale uczciwie się przyznam, że będzie mi bardzo brakowało pani wdzięcznej osoby - powiedział serdecznie.

- Dziękuję za wszystko, panie profesorze, na pewno nigdy nie zapomnę, ile serca okazał mi pan w tych ciężkich dniach. Jeżeli pan pozwoli, wpadnę tu od czasu do czasu, aby się przekonać, czy zawsze jest pan tym dobrym, kochanym profesorem, przyjacielem wszystkich, którzy pana potrzebują. Chciałabym także ofiarować zakładowi kilka moich grafik, myślę, że spodobają się chorym.

- O, z pewnością. Trzymam panią za słowo, pani Krysiu, ale teraz przepraszam, muszę jeszcze trochę popracować. Zejdę pożegnać panią, kiedy mąż przyjedzie.

- Powinien zaraz się zjawić, przecież jest już spóźniony.

- No, to na razie!

Profesor Wielowieyski wrócił do swego gabinetu i ponownie rozpoczął wędrówkę od drzwi do okna. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Zawidzki nie przyjeżdża, miał tu być zaraz po siedemnastej, a dochodziła osiemnasta. Nigdy nie lubił tego człowieka, ale od chwili, kiedy siostra Zawidzkiej, pani Urbańska, przywiozła ją tutaj w stanie kompletnego załamania psychicznego, zaczął go organicznie nie znosić. Jakże można było doprowadzić to urocze stworzenie do takiego stanu!

Co prawda, od miesiąca coś się w Zawidzkim odmieniło, widać, że naprawdę zależy mu na wyzdrowieniu żony, stał się troskliwy i kochający, profesor jednak nie mógł się opędzić myśli, że za tą metamorfozą coś się kryje.

A na dole, w hallu, młoda kobieta spoglądała co chwila na zegarek; policzki jej przybladły ze zdenerwowania. Czowała, jak narasta w niej niekontrolowana wściekłość.

Gdy wskazówki elektrycznego zegara wskazały godzinę za dziesięć szósta, powzięła postanowienie:

Nie będzie tu wyczekiwać jak głupia. Sama trafi do domu i da mu nauczkę! Jeśli nie mógł na

czas przyjechać, powinien być choć zadzwonić!

W pokoju na górze odezwał się telefon. Usłyszała gniewny baryton profesora, jednak słów nie mogła odróżnić. Chwyła walizkę i wybiegła do ogrodu.

Spokojnie zbliżyła się do furtki i wyrzała na drogę. Właśnie nadjechała dostawcza furgonetka i wartownik otworzył bramę, aby wpuścić wóz na teren zakładu.

Pod osłoną wjeżdżającego samochodu młoda kobieta wymknęła się na zewnątrz i szybkim krokiem pomaszerowała wzdłuż ogrodzenia, tak, aby wartownik nic mógł jej zobaczyć ze swego stanowiska. Po pewnym czasie skręciła na drogę prowadzącą do dworca kolejowego.

Szła szybko, z bijącym sercem, zerkając co chwila za siebie. Nikt jej nie gonił. Zwolniła nieco kroku, rozglądając się wokoło. Mijała prywatne wille, domki jednorodzinne, duże bloki mieszkalne. Walizka trochę ciążyła, ale mimo to szła krokiem sprężystym, radując się sprawnością własnego ciała. Wiatr rozwiewał jej włosy; filuterna czapeczka nie mogła utrzymać się na głowie, zdjęła ją więc i wsunęła do kieszeni, pozwalając włosom swobodnie igrać z wiatrem. Przed jednym z domków spostrzegła samochód, do którego wsiadał młody człowiek o sympatycznej powierzchowności.

Podbiegła, pytając, czy nie wybiera się przypadkiem do Warszawy. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem, aż się zaczerwieniła.

- No, jak wypadł egzamin? - rzuciła zaczepnie, zła na siebie za ten dziewczęcy rumieniec.

- Na piątkę - odpowiedział młody człowiek, gestem zapraszając ją do zajęcia miejsca.

Wyjął jej z ręki walizkę i ulokował na tylnym siedzeniu.

Ruszyli.

Profesor Wielowiejski skończył telefoniczną rozmowę z redaktorem Januszem Zawidzkim, który zawiadamił, że z przyczyn od siebie niezależnych spóźni się; przyjedzie po żonę nie wcześniej jak za godzinę; prosił o przekazanie jej tej wiadomości.

Profesor był wściekły. Tak nie postępuje się z rekonwalescentką! Elektryczny zegar na ścianie wskazywał już godzinę osiemnastą, kiedy profesor stanął ponownie w drzwiach. Krystyny nie było. Zbiegł na dół, rozejrzał się po tarasie, po parku - nigdzie jej nie dostrzegł. Szybkim krokiem skierował się do bramy. Portier oświadczył, że przed kilku minutami widział młodą kobietę spacerującą po parku. W tym czasie przyjechała furgonetka z jarzynami, musiał więc otworzyć bramę i zająć się konwojentem. Tej młodej pani już więcej nie widział, był przekonany, że wróciła do budynku.

Profesor, zaniepokojony, polecił przywołać kierowcę, sam zaś zawrócił do gabinetu, chwycił płaszcz, telefonicznie zawiadomił lekarza dyżurnego, że zmuszony jest odwiedzić do domu pacjentkę, Krystynę Zawidzką. Wreszcie wypadł na podjazd, na którym już czekał służbowy fiat.

Podjechali do dworca kolejowego. Według rozkładu jazdy najbliższy pociąg do Warszawy miał odjechać dopiero za dwadzieścia minut. Profesor przypuszczał, że dogonią Zawidzką po drodze lub na stacji. Nie było jej nigdzie.

- Mogła pojechać „na łebka”, w tych domach dużo ludzi ma samochody - wtrącił kierowca.

- Słusznie - zgodził się profesor. - Nie pozostaje nam więc nic innego, jak pędzić do Warszawy i przekonać się, czy dotarła do domu.

Jazda trwała dłużej, niż przypuszczali; prawie na każdym skrzyżowaniu trafiali na czerwone światła, przejazd kolejowy był zamknięty przez dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie wjechali w Chałubińskiego, dochodziła już godzina osiemnasta pięćdziesiąt pięć.

Zaledwie kilkanaście metrów dzieliło ich od ulicy Topolowej, gdy profesor spostrzegł młodą kobietę z walizką w ręku, biegnącą w ich stronę. Kierowca przytomnie zatrzymał wóz tuż przy krawężniku, tak że profesor zdążył wyskoczyć i zagrozić drogę biegnącej. Zawidzka podniosła zapłakane oczy, poznała profesora i przylgnęła do niego, szlochając gwałtownie.

Kierowca wyskoczył również, wyjął kobiecie z ręki walizkę, wrzucił do bagażnika i otworzył tylne drzwiczki samochodu. -

Wielowieyski spokojnie, ale stanowczo usadowił Zawidzką w samochodzie i sam również wsiadł, nie puszczając jej ramienia. Dziewczyna ciągle płakała. Profesor delikatnie otarł jej twarz własną chusteczką. Wciągnęła przyjemny zapach lawendy, odsunęła włosy z twarzy i już przytomniej spojrzała na profesora.

- On nie żyje, panie profesorze, nie żyje! - powiedziała łamiącym się głosem. Chwilę patrzyła przed siebie, jakby dostrzegła tam jakąś potworną wizję, wreszcie opuściła głowę i zastygła w bezruchu, głucha i ślepa na wszystko, co się koło niej działo.

Profesor wahał się tylko przez moment.

- Klucze - powiedział dobitnie, a gdy Zawidzką nie zareagowała, otworzył jej torebkę i wyłuskał z niej pęczek kluczyków na fantazyjnym kółeczku. Poleciał kierowcy podjechać pod bramę domu nr 17.

Prawie biegnąc, dopadł windy i wjechał na trzecie piętro. Chwilę wahał się przed drzwiami, opatrzonymi numerem jedenastym oraz prostą wizytówką z napisem „K. i J. Zawidzcy”. Wahanie jednak trwało bardzo krótko. Zdecydowanym ruchem wprowadził do zatrzasku kluczyk yale.

W przedpokoju oraz w pokoju było ciemno. Wystarczył błysk zapalniczki, by odnaleźć wyłącznik; pokój zalało ostre światło z wielopłomiennego żyrandola. Widok, jaki się ukazał oczom Wielowieyskiego, na zawsze pozostał mu w pamięci.

Na tle szarozielonej ściany, w pobliżu olbrzymiego telewizora spostrzegł staroświecki fotel trzcinowy, a na nim zwróconą twarzą, do drzwi wejściowych nieruchomą postać ludzką z bezwładnie zwisającymi ramionami, z głową opuszczoną na piersi. Na wiśniowej koszuli ruda plama zakrzepłej

krwi, na podłodze - u stóp leżącego - krwawa kałuża.

Ostrożnie; aby niczego nie zmienić, zbliżył się do fotela. Ujął za puls bezwładną rękę, po czym uniósł ciężkie powieki mężczyzny, przyłożył lusterko do nieruchomych ust. Dotknął szyi - zimna.

Nie żyje już chyba od pół godziny - skonstatował w duchu i ująwszy przez chusteczkę słuchawkę telefonu, nakręcił numer komendy milicji. Czekał na połączenie, rozejrzał się po pokoju. Teraz dopiero zauważył porzucony na podłodze koło drzwi wielostrzałowy rewolwer oraz powyciągane szuflady biurka.

Gdy odezwał się dyżurny milicjant, Wielowiejski poprosił kapitana Roszczyka.

Kapitan Marcin Roszczyk oraz jego zastępca, porucznik Aleksander Kowalski, zasiedzieli się tego dnia w komendzie. Opracowywali sprawozdanie z zakończonych ostatnio spraw. Kapitan dyktował, porucznik stukał na maszynie, używając do tego - o dziwo - wszystkich” dziesięciu palców. Gdy wystukał ostatnie zdanie i wstał, aby rozprostować bolące plecy, zadzwonił telefon. Roszczyk wyciągnął rękę po słuchawkę.

- Obywatelu kapitanie - meldował dyżurny - dzwoni profesor Wielowiejski, czy jakoś tak podobnie, i mówi, że ma bardzo ważną sprawę do pana kapitana. Łączyć?

- Jasne, dawajcie go szybko! Halo, profesorze, jakie dobre bogi skierowały pana do mnie?

- Niestety, kapitanie, tym razem te najgorsze. Jestem u mojej pacjentki, Krystyny Zawidzkiej. Wróciła dzisiaj do domu po dłuższej kuracji, ale kiedy weszła do mieszkania, zastała męża z kulą w piersi. Nie żyje już od pewnego czasu. Jak prędko możecie przyjechać?

- A gdzie to jest?

- Przy ulicy Topolowej siedemnaście, trzecie piętro, pod jedenastym. On się nazywał Janusz Zawidzki.

- To potrwa nie dłużej niż pół godziny.

- Niestety; kapitanie, muszę odwieźć panią Zawidzką do zakładu, jest w stanie szoku nerwowego, muszę się nią zająć. Chciałbym jednak przekazać panu klucze od mieszkania, wołałbym nie zostawiać ich u dozorca.

- Niech pan profesor zamknie drzwi i zabierze klucze ze sobą. Dopadniemy was gdzieś po drodze. Będziecie jechać Alejami?

- Oczywiście. Mogę się na chwilę zatrzymać na parkingu koło dworca Zachodniego. Jadę popielatym fiatem nr WAO 4389.

Zanim kapitan zdążył powiedzieć „dziękuję”, profesor odłożył słuchawkę.

- Jedziemy! - krzyknął Roszczyk do porucznika. - Organizuj techników - Topolowa 17 m. 11. To

będzie przy Koszykowej, ja tymczasem wpadnę do starego. Spotkamy się na dole przy moim wozie, szczegóły opowiem ci w drodze.

Po kilku minutach, siedział już za kierownicą swojego fiata, mając koło siebie porucznika, a za plecami lekarza. Ekipa techniczna odjechała wcześniej.

Nie minęło dwadzieścia minut, kiedy na parkingu koło dworca Zachodniego natknęli się na samochód z zakładu w Klimowie. Profesor podał Roszczykowi klucze i szybko streścił wszystko, co zaszło tego popołudnia. Mimo usilnych starań, kapitanowi nie udało się przyjrzeć pacjentce profesora; wychylony z wozu Wielowieyski przesłaniał ją bowiem kompletnie swoją potężną postacią. Uzgodnili, że za jakąś godzinę kapitan zadzwoni do zakładu. Dwa fiaty rozjechały się w przeciwnych kierunkach.

Ekipa techniczna czekała już pod drzwiami mieszkania. Kapitan wszedł pierwszy. Zarówno w przedpokoju, jak i w pokoju paliło się światło, pozostawione przez profesora.

Zanim technicy przystąpili do akcji, kapitan rozejrzał się bacznie wokół, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Był to bardzo piękny, wielki, podłużny pokój.

Bodaj to mieszkać w starym budownictwie - pomyślał z zazdrością, podziwiając wysokie, tzw. „weneckie”, trzyskrzydłowe okna oraz piękne sztukaterie na suficie.

Starannie dobrane meble świadczyły o dobrym smaku oraz o zamożności właścicieli. Przestrzeń między oknami, zabudowana była meblościankami o różnym przeznaczeniu. Znajdowały się tam szafy i szafki, regały i gablotki pełne pięknej porcelany, nowoczesnych kolorowych kryształów, a także książek. Na wprost drzwi wejściowych utworzyła się jakby naturalna loggia, przeznaczona do oglądania audycji telewizyjnych. W rogu loggi panoszył się wielki dwudziestoczerocalowy kolorowy telewizor, kilka metrów od niego przykucnął maleńki, okolicznościowy stoliczek, trzy foteliki kulły się wstydliwie obok monstrualnego, wypłatanego trzcina, staroświeckiego bujaka, na którym spoczywały zwłoki pana domu. Po lewej stronie pokoju znajdowało się piękne, inkrustowane biurko, a na nim wysoka, stojąca lampa z ręcznie malowanym abażurem. Obie szafki biurka były otwarte środkowa szuflada wyłamana. Sarta papierów, rzucona w nieładzie na blat świadczyła, że ktoś szukał czegoś w wielkim pośpiechu.

Złocistobrazowa, ciężka kotara, oddzielała od pokoju sypialną wnękę. Tuż koło drzwi wejściowych, - tak trochę ni w pięć, ni w dziewięć - stał sobie mały stolik-barek na kółkach. Środek pokoju pokryty był kosztownym dywanem „Buchara”. Szczelnie zasunięte złocistobrazowe zasłony skutecznie odgradzały pokój od całego świata; kremowe nylonowe firanki stanowiły miłe uzupełnienie całości. Na ścianach widać było tu i ówdzie dobre drzeworyty oraz grafiki.

Na znak dany przez kapitana fotograf wykonał szereg zdjęć ofiary, a następnie do zwłok przystąpił lekarz: przyjrzał się ranie na piersi oraz kilku draśnięciom. Sprawdził, czy nie ma jakichś innych obrażeń, wreszcie oświadczył:

- Według pobieżnego rozeznania śmierć nastąpiła wskutek przebicia komory sercowej kulą, wystrzeloną z bezpośredniej bliskości. Draśnięciom nie przypisuję większego znaczenia. Znalazłem,

jedno na prawym udzie, a drugie na prawym ramieniu. Niczego więcej nie mogę stwierdzić w tych warunkach. Szczegółowe dane podam po sekcji. Orientacyjny czas zgonu - najwcześniej osiemnasta, najpóźniej dziewiętnasta.

Porucznik Kowalski opróżnił kieszenie zmarłego. Znalazł tam jedynie zwykłe drobiazgi: chusteczkę, pilniczek do paznokci, zapalki, papierosy, jakiś breloczek, długopis. Brakowało natomiast portfela. Dał znak, aby wyniesiono ciało, a sam zaczął przeglądać papiery na biurku.

W tym czasie jeden z funkcjonariuszy pozbierał z podłogi łuski. Było ich sześć. Rozejrzeli się za kulami. Tylko jedna, ta śmiertelna, tkwiła w ciele Zawidzkiego, pozostałe siedziały płytko w ścianie i dały się łatwo wyłuskać. Pasowały do rewolweru, porzuconego na podłodze obok drzwi.

Jeden z funkcjonariuszy, przeszukujący wnękę za kotarą, podał kapitanowi znaleziony na futrzaku przed tapczanem damski pierścionek, precyzyjnej roboty. Na złotej obrączce, misternie zdobionej umocowana była platynowa markiza wysadzana diamentami. Wewnątrz obrączki wygrawerowano literki: „L.K.”

Wkrótce ekipa dochodzeniowa odjechała zabierając ze sobą lekarza. Sanitariusze z Zakładu Medycyny Sądowej wynieśli zwłoki. Na placu boju pozostali tylko dwaj oficerowie.

Roszczyk przeszedł za kotarę; znajdował się tam szeroki, tapczan przyrzucony złocistobrązowa narzutą, podłoga przed tapczanem pokryta była puszystym futrzanym dywanikiem.

Kapitan wyjął misterne jubilerskie cacko i przez moment wpatrywał się w nie, jakby właśnie w tym pierścionku miał znaleźć rozwiązanie zagadki. Ocknął się wreszcie, włożył pierścionek ostrożnie do koperty. Dołączył go do innych materiałów śledztwa. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie, wciągnął nosem unoszący się w powietrzu mocny zapach francuskich perfum.

Ciekawe, czy to pani „L.K.” używa tych perfum? - pomyślał.

Wrócił do pokoju i połączył się z Wielowieyskim. Jak oświadczył profesor, Zawidzka całą drogę trwała w tępym odrętwieniu i nie można było wydobyć z niej sensownego zdania. Obecnie śpi po otrzymaniu środków uspokajających. Profesor raz jeszcze streścił kapitanowi wszystko, co zaszło tego popołudnia. Ustalili czas wydarzeń: telefon Zawidzkiego o godzinie siedemnastej pięćdziesiąt pięć; wyjście Zawidzkiej z zakładu; wreszcie spotkanie jej przy Chałubińskiego -godzina osiemnasta pięćdziesiąt pięć.

- Panie profesorze - zapytał kapitan - czy nie zna pan jakichś krewnych lub znajomych Krystyny Zawidzkiej?

- Znam tylko siostrę pani Krystyny. Nazywa się Irena Urbańska, podyktuję panu jej telefon; proszę pisać. 43-21-15. Nie sądzi pan, że powinienem do niej wpierw zadzwonić?

- Nie ma potrzeby, panie profesorze, ja z nią porozmawiam i poproszę, aby skontaktowała się z panem. Ale czy mogę liczyć, że zawiadomi mnie pan, gdy tylko będzie możliwe przesłuchanie tej nieszczęsnej pani Zawidzkiej?



- Jasne, natychmiast zawiadomię.

- Dziękuję bardzo, panie profesorze. - Odłożył słuchawkę, chwilę stał zamyślony, bezwiednie pocierając dłonią brodę, wreszcie zwrócił się do porucznika. - Słuchaj, asystowałeś przy zdejmowaniu odcisków palców, czy podpadło ci może coś ciekawego?

- Właśnie miałem zamiar ci o tym opowiedzieć. Były tam różne ciekawostki, posłuchaj. W całym mieszkaniu pełno najrozmaitszych śladów, normalna rzecz - natomiast na biurku, na drzwiach, na telewizorze, na lampie biurowej i na poręczach fotela czyściutko, ani pyłka. Zrozumiałe: morderca musiał dotykać tych przedmiotów, wytarł więc ślady. Ale może mi wytłumaczysz wobec tego, dlaczego na rewolwerze pozostały piękne, wyraźne ślady palców, tak usytuowane, żeby nie było żadnej wątpliwości: należą do osoby, która strzelała. Ustaliłem, że to broń Zawidzkiego, między papierami znalazłem zezwolenie, chyba jeszcze sprzed piętnastu lat, wydane we Wrocławiu, ale śladów palców Zawidzkiego na rewolwerze nie było. Rozumiesz, morderca zadaje sobie trud, aby wszystko powycierać na sicher, a tu zostawia taką wyraźną wizytówkę. A teraz druga sprawa. Spróbuj mi wytłumaczyć, dlaczego pięć łusek znaleziono przy drzwiach, a tylko jedną koło fotela?

- No. na to ostatnie pytanie nietrudno chyba odpowiedzieć, słyszałeś, co mówił lekarz.

- Nie zrozumiałeś mnie. Jasne, że facet najpierw strzelił całkiem z bliska, a później cofał się i strzelał od drzwi; ale dlaczego, skoro pierwszy strzał był śmiertelny?

- Może nie miał co do tego pewności? Ale czy oprócz tych faktów nic więcej nie zwróciło twojej uwagi? Nie zdziwiło cię, że aż do momentu, kiedy do sprawy wmieszał się profesor Wielowieyski, nikt nie zgłosił meldunku o kanonadzie w mieszkaniu Zawidzkich? Przecież zarówno profesor, jak i my powinniśmy byli napotkać gromady ciekawskich na schodach. A tu cisza; spokój.

- Ach, to w ogóle jakaś nietypowa sprawa. Weźmy nu przykład ten brak portfela i dowodu osobistego. W szufladzie znajdują się pieniądze, kosztowny zegarek, jakieś inne drogocenne cacka - niczego nie ruszono, a więc chyba nie chodziło o rabunek. Zazwyczaj portfele giną wówczas, gdy chodzi o utrudnienie identyfikacji zwłok, ale tu? No, a brak jakiegokolwiek notatnika czy kalendarza... Trudno sobie wyobrazić, aby taki redaktor nie miał w mieszkaniu jakiejś agendy czy choćby notatnika telefonicznego, prawda?

Kapitan uśmiechnął się z pobleżaniem.

- A ty byś chciał, aby wszystko układało się według formuły matematycznej:  $x = a + b$ , co? Nic z tego, mój drogi, to byłoby zbyt piękne. A teraz do roboty. Przede wszystkim musimy ustalić tożsamość pani „L.K”, właścicielki pierścionka. Zadzwoń do siostry Zawidzkiej, mam jej telefon. Może ona coś powie.

Nakręcił numer i po chwili rozmawiał już z panią Ireną Urbańską. Przedstawił się i wyjaśnił przerażonej kobiecie, że prowadzi dochodzenie w sprawie wypadku, któremu uległ jej szwagier. Pominął milczeniem pytanie o rodzaj wypadku i poprosił o informacje dotyczące krewnych i znajomych redaktora, a także jego żony. Urbańska chciała koniecznie dowiedzieć się szczegółów, Roszczyk jednak zasłonił się tajemnicą i dobrem śledztwa. Ona z kolei odmówiła udzielenia

informacji przez telefon, co kapitan skwitował niezadowolonym „rozumie panią” i zapowiedział, że zjawi się za godzinę osobiście.

- Ale, ale, panie kapitanie, nie pan nie wspomniał o mojej siostrze... Cały wieczór czekam na jej telefon, miała dzisiaj wrócić do domu po dłuższej kuracji. Czyżby ona też uległa wypadkowi?

- Nie, proszę pani, doznała jednak szoku i pozostała w zakładzie pod opieką profesora Wielowieyskiego. Obiecałem mu, że się z panią skontaktuję; może jutro już wolno będzie ją odwiedzić.

- Mój Boże, takie straszne nieszczęście, czy to coś poważnego?

- Wszystko opowiem pani osobiście, na razie proszę o dyskrecję.

- Zgoda, a więc za godzinę?

- Tak jest, do zobaczenia. Kapitan odłożył słuchawkę.

- O rany, jaki jestem zmęczony, tobie chyba też nic nie brakuje. Zrobimy tak. Ty porozmawiasz z sąsiadami Zawidzkich, a ja z gospodarzem domu. Odszukam cię w którymś z mieszkań. Następnie pojedę do Urbańskiej, a po drodze podrzucę cię do domu. No to jazda!

Opieczętowali drzwi wyjściowe, a następnie rozeszli się. Porucznik zapukał do sąsiadów Zawidzkich, kapitan zaś zbiegł na parter, do hallu. Kłębiła się tam gromada ludzi, otaczająca starszą, gładko uczesaną kobietę, która opowiadała coś z ferworem, wymachując rękami. Na odgłos kroków oficera wszyscy odwrócili głowy; kapitan zapytał o gospodarza domu. Wówczas kobieta przepchnęła się przez tłum i oznajmiła zaczepnym tonem:

- Ja jestem gospodarzem, a o co się rozchodzi?

Roszczyk wyjął legitymację służbową.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci redaktora Zawidzkiego. Chciałbym z panią porozmawiać; na osobności.

- Jak pan oficer tak bardzo chce, to proszę do mnie, ale właściwie co ja mam z tym wspólnego? Mieszkam na parterze, a oni na trzecim piętrze, to niby skąd mogę wiedzieć, co się tam wyrabia? - mówiąc to kobieta już otwierała drzwi swego M-2 i gestem zapraszała kapitana do środka.

Minęli maleńki, zagracony przedpokoik i znaleźli się w dość obszernym pokoju, umeblowanym szablonowo, lecz porządnie.

Kiedy usiedli, kobieta położyła spracowane dłonie płasko na blacie stołu. Była chuda, żyłasta ale schludna. W ciemnych oczach przeblýskiwały iskierki ciekawości.

- Proszę pani - rozpoczął poważnie kapitan - redaktor Zawidzki został zamordowany przez kogoś, kto bywał u niego częstym gościem; musimy jak najszybciej znaleźć i ukarać mordercę, zanim

zabije następną ofiarę. Liczymy bardzo na pani pomoc.

- A to mają jeszcze kogoś zabić? - zatrwożyła się kobieta.

- Tego nie wiemy, ale w powieściach sensacyjnych często tak bywa, nieprawdaż? - Kapitan kątem oka zauważył leżącą koło wersalki kolorową okładkę najnowszego kryminału.

- W czym ja tu mogę pomóc? - rozłożyła bezradnie ręce.

- Może pani; słyszeliśmy bardzo dużo o tutejszym „gospodarzu domu”, - że dba o spokój lokatorów, że ma oko na wszystko, że nic się przed nim nie ukryje - łągał Roszczyk jak z nut.

„Pani gospodarz” zarumieniła się z zadowolenia i... połknęła haczyk.

- Zrobię, co będę mogła, panie...

- Kapitanie - podpowiedział Roszczyk.

- Kapitanie - powtórzyła kobieta - ale o co właściwie się rozchodzi? Pan redaktor, świeć, Panie, nad jego duszą, dobrym był lokatorem, a już pani Krystyna to choć do rany przyłożyć. Ale... - zająknęła się nagle. - Co z nią, czy już wie?

- Niestety, wie. Doznała szoku, musi więc nadal przebywać w zakładzie...

- Biedactwo - rozczuliła się kobieta. - A właśnie miała wrócić do domu!

- Proszę mi powiedzieć, czy państwo Zawidzcy dawno tu mieszkają?

- Będzie jakieś dwa lata, jak się sprowadzili.

Ona zaraz kazała mieszkanie przemałować po swojemu, bo to, proszę pana, malarka czy coś takiego. Umieblowanie mieli byle jakie, dopiero rok temu, jak sprowadzili skądś te dzisiejsze meble. To zamożni ludzie, mają nawet kolorowy telewizor.

- A jak do tego doszło, że pani Zawidzka musiała pójść do zakładu, czy wie pani coś na ten temat?

- No, nie bardzo, ja się tam do prywatnych spraw nie mieszam, po mojemu, to w tym małżeństwie nie wszystko szło, jak trzeba. Ona ostatnio ciągle była smutna, pytałam ją nieraz, czy nie chora, to tylko ręką machała. Później siostra zabrała ją na jakiś czas do siebie, aż raptem słyszę - pani Krysią w szpitalu i to w takim. Matko Święta, ale co jej dokumentnie było, nie wiem.

- Często przebywała poza domem?

- Dosyć często. Pracownię wynajęła w Alejach Jerozolimskich, to chodzi tam malować. Nieraz i zanocuje tam, jak ma dużo roboty. A chyba coś ze dwa razy wyjeżdżała na jakieś targi za granicę i do Poznania, to nie było jej po dwa tygodnie.

- A mąż pozwalał jej, nie denerwował się?

- Tego to ja już nie wiem, ale tak po mojemu chyba nie, bo zawsze był bardzo wesoły. Chodziłam do nich sprzątać pod jej nieobecność, a jak spodziewał się gości, to nawet robiłam mu zakupy.

- I często miewał tych gości?

- Dosyć często, ale ostatnio tak jakby sfolgował.

- Znała pani może jego gości?

- No... z widzenia i to głównie tych, co pytali o numer mieszkania. Tu jest sporo lokatorów i trudno wiedzieć, kto do kogo...

- A kobiety przychodziły do niego? On nie żyje, więc mu pani w niczym nie zaszkodzi. Pani Krystynie na pewno nic nie powiemy, niczego się nie dowie.

- Oj, dowie się, biedactwo, dowie. A bo to ludzie strzymają, aby języków po próznicy nie strzepić?

- Święta prawda - zgodził się Roszczyk. - Więc widywała pani i kobiety?

- Za to głowy nie dam, bo widzi pan kapitan, na piątym piętrze mieszka krawcowa, ma dużo klientek, to trudno odgadnąć, które do krawcowej, a które do redaktora. Ale jedną wypatrzyłam. Była u krawcowej, ale tylko chwilę. Jak wyszła, rozejrzała się po klatce schodowej, czy nikogo nie ma, a później szybciotko zbiegła na trzecie i zapukała pod jedenastkę. Myłam wtedy windę i ona mnie nie zauważyła.

- Pamięta pani może, jak wyglądała? Czy była tu pierwszy raz?

- Nie, widziałam ją już kilka razy, myślałam jednak, że to klientka tej Kaweckiej. Dostyć wysoka, szczupła, chodzi z gołą głową, włosy jasne, krótkie, takie falujące, z grzywką, jak to teraz kobiety się noszą. Miała na sobie taki komplecik jakby męski, wie pan - spodnie i żakiet - w kolorze fioletowym i taki powiewający biały szal w liliowe kropki. Zapamiętałam, bo ładnie była ubrana...

- Dawno to było? Widziała ją pani jeszcze później?

- To było jakieś trzy tygodnie temu a przyuważyłam ją jeszcze kilka razy, jak wpadała do windy. - Nachyliła się w stronę kapitana i powiedziała szeptem, jakby bała się, że ją ktoś usłyszy. - Panie kapitanie, ona tu dzisiaj też była, widziałam, jak wypadła z windy, jakby kogoś goniła...

- Pamięta pani, która to mogła być godzina?

- Dokładnie nie powiem, ale w każdym razie już dobrze po szóstej, bo o szóstej skończyła się telewizja dla dzieci, a ja wychodziłam kawałek czasu później.

- Poznałaby ją pani?

- Chyba tak; jakby jeszcze była tak samo ubrana...

- Bardzo dziękuję, to ważne, co mi pani opowiedziała, ale teraz proszę się jeszcze przez chwilę zastanowić, czy w ostatnim czasie, zwłaszcza dzisiaj, nic nie zwróciło pani uwagi? No, chodzi mi o coś, co odbiegałoby od normalnych zwyczajów czy trybu życia redaktora Zawidzkiego.

- Raczej nie, tylko że dzisiaj pytał o niego jakiś starszy pan. Przyjechał takim zielonym fiatem; jak powiedziałam, że pana redaktora jeszcze nie ma, to obiecał, że później wróci i pojechał.

- A wrócił?

- Nie widziałam go więcej.

- A skąd pani wiedziała, że redaktora jeszcze nie ma?

- No, już mówiłam, że jak nie ma pani Krystyny, to do nich chodzę... Zostawia u mnie klucze, żeby mogła posprzątać, a jak wraca, to je zabiera; wtedy klucze leżały jeszcze u mnie.

- O której to mogło być?

- Tak zaraz po czwartej.

- Dzisiaj też pani u niego sprzątała?

- Oczywiście! I to ekstra, bo przecież pani Zawidzka miała dzisiaj wrócić. Dywany poodkurzałam, umyłam okna, no, wie pan kapitan, takie jakby świąteczne porządki.

- A w alkowie też?

- Jasne. Jak ja już co robię, to porządnie. Nawet pościel poprzewlekałam.

- A nie czuła tam pani zapachu perfum?

- Skądże, pan redaktor nie znosi nijakich zapachów. Wietrzyć każe długo...

- I o której Zawidzki odebrał klucze?

- Około piątej.

- Czy to już wszystko, co może mi pani powiedzieć na temat redaktora? Zna pani może jakichś jego krewnych, przyjaciół? Kto przychodził do niego najczęściej?

- Znam siostrę i szwagra pani Krystyny, ale nie wian, gdzie mieszkają. A przyjaciel nieboszczyka nie znam, widywałam tu tylko takiego jednego zażywnego, wysokiego, eleganckiego mężczyznę, mniej więcej w wieku redaktora: oni często wychodzili razem albo wyjeżdżali

samochodem redaktora; mówili sobie per ty, tamtemu chyba Zygmunt; spotkałam ich kiedyś z wędkami, chyba wybierali się na ryby.

- To redaktor ma samochód?

- Tak, tak. Ale właśnie teraz sobie pomyślałam, że już od kilku dni nie widziałam tego samochodu, może dał go do remontu? Pani Krystyna też bardzo lubiła prowadzić.

- Jaki to był samochód?

- A taki granatowy, półokrągły, co to nazywają „garbus”.

Volkswagen uzupełnił w myśli Roszczyk.

- No, dziękuję, nie chcę już pani dłużej męczyć. Proszę całą rozmowę zatrzymać dla siebie. Liczymy bardzo, że będzie pani tu miała oko na wszystko. Gdyby się ktoś kręcił koło mieszkania Zawidzkich albo gdyby się pani coś jeszcze przypomniało, proszę do mnie telefonować, tu są spisane wszystkie moje telefony.

- Oj, ale ze mnie gapa, nawet nie poczęstowałam pana herbatą...

- Co się odwlecze, to nie uciecze - uśmiechnął się Roszczyk.

Bardzo zamyślony, kapitan zaczął się wspinać po schodach, zastanawiając się, w którym mieszkaniu znajduje się obecnie porucznik Kowalski. Stłoczona na klatce pierwszego piętra gromadka ciekawskich posłużyła mu za drogowskaz. Rzeczywiście - w momencie gdy miał zadzwonić do drzwi na prawo, właśnie się otworzyły i stanął w nich Kowalski.

- Myślę, że na dzisiaj całkiem wystarczy - mruknął na widok Roszczyka.

- Co racja, to racja, ale jeszcze jedną sprawę musimy koniecznie załatwić. Hulamy na piąte, a później już odwiozę cię do chałupy.

- O, rany! - jęknął porucznik. - Co tam znów masz na tym piątym piętrze?

- Zobaczysz, pakuj się do windy, a po drodze opowiesz mi, dlaczego nikt nie zainteresował się kanonadą u Zawidzkich?

- To okazało się bardzo proste: tu są bardzo grube mury; stare budownictwo, rozumiesz. Ale najważniejsze, według mnie, to to, że od godziny osiemnastej piętnaście do dziewiętnastej leciał odcinek tego serialu wojennego, co to w nim więcej bomb, strzelaniny i wybuchów niż treści. Jeżeli więc ktoś nawet słyszał strzelaninę, mógł ją uważać za fragment filmu, zwłaszcza, że w takim szacownym domu nikt czegoś podobnego nie oczekiwał. Jeden z lokatorów mówił mi, że właśnie w tym czasie telewizor u Zawidzkich ryczał na cały regulator, facet stukał nawet w podłogę, a wtedy odbiornik umilkł zupełnie. Gość twierdzi, że to było pięć minut przed końcem filmu, a więc o osiemnastej pięćdziesiąt pięć.

- Sprytne! Morderca rozkręcił na pełny głos fonię telewizora, a następnie zastrzelił Zawidzkiego. Jeszcze jeden dowód, że należał do dobrych znajomych gospodarza, nikt obcy nie mógłby poruszać się tak swobodnie po mieszkaniu ani manipulować przy odbiorniku, nie mógłby również podejść tak blisko do ofiary. Ale to zawęża limit czasu, w którym zginął Zawidzki. Mogło się to stać wyłącznie między godziną osiemnastą piętnaście (początek filmu) a osiemnastą pięćdziesiąt pięć - wyłączenie telewizora.

Winda zatrzymała się. Wysiedli i zadzwonili do drzwi opatrzonej tabliczką z napisem „M. Kawecka”. Otworzyła im starsza już pani, starannie ubrana i umalowana. Spojrzała no nich ze zdziwieniem.

- Czy mam przyjemność z panią Kawecką? - grzecznie zapytał kapitan.

- Jeżeli uważa pan to za przyjemność, to zgadza się odpowiedziała z uśmiechem kobieta. - Czym mogę służyć?

- Proszę wybaczyć to najście... Umówiłem się tu z moją kuzynką, jestem w Warszawie przejazdem, tylko tak mogliśmy się zobaczyć. Miała tu być u pani około dwudziestej.

Gospodyni sprawiała wrażenie nieco zaskoczonej, ale zagadnęła uprzejmie:

- A jak się nazywa pana kuzynka?

- O to właśnie chodzi, że nie pamiętam jej nazwiska z męża... roześmiał się Roszczyk - Jako panna nazywało się Lidia Sobczyk. Taka dosyć wysoka blondynka z krótkimi włosami...

- Ach, to pani Krzycka. Była dzisiaj, ale nic mi nie wspominała, że jest z kimś umówiona... Bardzo się spieszyła. Nawet miarę przełożyłyśmy...

- Czy może pani powiedzieć dokładnie, o której przyszła i o której wyszła?

Cierpliwość krawcowej się wyczerpała.

- Mój panie... A cóż to za indagacja, śledzi ją pan czy co? - wykrzyknęła oburzona. Trzeba było wyłożyć karty na stół.

- Jesteśmy oficerami milicji, prowadzimy dochodzenie w bardzo poważnej sprawie, zechce więc pani odpowiedzieć wyczerpująco na nasze pytania. Proszę, oto moja legitymacja. Kawecka cofnęła się w głąb przedpokoju.

- W takim razie zechcą panowie wejść do mieszkania Nie będziemy tak w progu...

Weszli za gospodynią do obszernego pokoju, zastawionego staroświeckimi meblami z czarnego dębu; pani Kawecka zgarnęła ze stołu jakieś kolorowe szmatki i podsunęła milicjantom mocno już zniszczone krzesła. Sama przysiadła na brzegu leżanki.

- Więc powracając do poprzedniego pytania: o której przyszła i o której wyszła pani Krzycka,

jak się zachowywała, czy tak jak zawsze?

- Byłyśmy umówione na osiemnasta, ale przyszła jakieś pół godziny później. Niestety, nie przygotowałam jej miary, ale jak jej to powiedziałam, uśmiechnęła się tylko i mówi, że to nic nie szkodzi, że przyjdzie następnym razem. Zgubiłam jej miarę i musiałam zdjąć ją na nowo. Dopiero wtedy się zniecierpliwiła w ogóle robiła wrażenie, jakby bardzo się spieszyła, cały czas mnie popędzała... Szczegóły omawialiśmy dosłownie w drzwiach. Klientki tak nigdy nie robią... Aż mnie to zastanowiło... Wysłałam za nią nawet na klatkę schodową. Wtedy spostrzegłam, że wjeżdżając zostawiła windę otwartą, aby nie można było jej ściągnąć w dół. No, coś podobnego... Inni niech się drapią po schodach. W pewnym momencie krzyknęła tylko „do widzenia”, wbiegła do windy i zjechała. To wszystko.

- A proszę się zastanowić, czy na moment przedtem nie trzasnęły gdzieś drzwi albo może słychać było jakieś kroki na schodach?

Myślała przez chwilę.

- Tak... teraz sobie to uzmysławiam: gdzieś na dole trzasnęły drzwi, chyba też szedł ktoś po schodach, ale kroki zagłuszał skrzyp windy.

- Ile czasu mogło to trwać wszystko razem: przyście, narada, wyjście klientki?

- No, nie więcej niż dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć minut.

- Pani Krzycka często do pani przychodzi?

- Ostatnio tak jakoś dwa razy na tydzień, teraz wiosna, odświeża garderobę.

- Rozumiem. Nie orientuje się pani przypadkiem, czy bywa również u kogoś z lokatorów tego domu?

- Sądzę, że zachodzi do państwa Zawidzkich, bo to ich dobra znajoma.

- Potrafiłaby pani wyliczyć więcej klientek, które mają znajomych w tym domu?

- Oczywiście, to zupełnie jasne. Klientki mieszkające tutaj polecają mnie swoim koleżankom czy krewnym...

- A pani Zawidzka też się u pani ubiera?

- Raczej rzadko; ona sama projektuje i szyje swoje sukienki. Ale czasami przychodzi do mnie.

To bardzo miła i kulturalna pani. I teraz spotkało ją takie nieszczęście, myślę o śmierci jej męża... A panowie może właśnie w tej sprawie?

- Tak, proszę pani, ale jeżeli klientka pani nie jest w to zamieszana, włos jej z głowy nie spadnie. A propos, czy ma pani jej adres?



- Jest w książce telefonicznej.

- Dziękuję bardzo i proszę o zachowanie w tajemnicy naszej rozmowy, dobrze?

- Oczywiście.

Wyszli wreszcie, ku wielkiej uldze porucznika Kowalskiego. Za chwilę znaleźli się w samochodzie Roszczyka, który odwiózł przyjaciela do domu, a sam pojechał do Urbańskiej. Otworzyła mu postawna brunetka niewiele po trzydziestce, modnie uczesana, ładnie ubrana. Twarz miała niezbyt piękną, ale miłą i inteligentną.

- Kapitan Roszczyk z Komendy Głównej. Jak pani widzi, dotrzymałem obietnicy.

- Proszę dalej, panie kapitanie, zaparzyłam świeżą kawę, na pewno jest pan bardzo zmęczony.

- Serdecznie pani dziękuję, to naprawdę samarytański uczynek, marzyłem o kawie - westchnął siadając przy okrągłym stole zajmującym środek dużego, kwadratowego pokoju, umeblowanego nieco szablonowo, ale bardzo funkcjonalnie.

Czekając na gospodynię, która znikła w kuchence, obejrzał z zainteresowaniem mnóstwo kolorowych akwrel zupełnie dobrych, i kilku pięknych cepeliowskich talerzy, zdobiących jasnokawowe ściany. Cały pokój tonął w wiosennych kwiatach; były więc tulipany, żonkile, narcyzy, nawet gałązka czeremchy. Barwne zasłony i kolorowe stylonowe firanki dopełniały wesołej całości. Tu i ówdzie walały się zabawki dziecięce: lalki, samochody.

Nim Roszczyk zdołał odetchnąć pełną piersią, chłonąc pogodną atmosferę tego pokoju, pani domu wniosła na tacy maleńki ekspres do kawy i filiżanki. Słone paluszki i jakieś herbatniki znalazły się również.

Za chwilę zjawił się pan domu, inżynier Urbański, dobroduszny olbrzym o serdecznie uśmiechniętej twarzy. Mocno uścisnął rękę kapitana. Zasiedli do stołu.

Kapitan skosztował aromatycznego płynu, poczuł wracające siły, a jednocześnie z przykrością pomyślał, że czas wreszcie ujawnić właściwy powód swojej wizyty.

- Jestem państwu winien wyjaśnienie - zaczął. - Nie chciałem o tym mówić wcześniej, ale złe państwu przynoszę nowiny... Szwagier pani, redaktor Janusz Zawidzki nie żyje, został zamordowany w swoim mieszkaniu.

W pokoju zapadła raptowna cisza. Małżonkowie patrzyli to na siebie, to na kapitana, jakby jeszcze niezupełnie dotarł do nich sens wypowiedzianych przed chwilą słów. Pani Irena przycisnęła do ust zwinięte pięści.

- Panie kapitanie, jak to, dlaczego?! Przecież to niemożliwe, niemożliwe! A co z Krysią, wie o tym?

- Niestety wie... Doznała szoku, zaopiekował się nią profesor Wielowieyski, on też podał mi

adres i telefon pani. Na razie nie wolno jej niepokoić, ale jutro lub pojutrze będzie chyba można z nią porozmawiać. Muszę, niestety, przesłuchać pani siostrę i chciałbym zrobić to w obecności pani, ułatwi to chyba sytuację, prawda?

- O, tak! Bardzo Krysię kochamy, zrobimy dla niej wszystko, co tylko możliwe! Ale jak to się stało, panie kapitanie?

- Na razie prowadzę dochodzenie. Wiem tylko tyle, że profesor Wielowieyski, zdenerwowany spóźnieniem się Zawidzkiego, pojechał do niego, do domu. Szwagier już wówczas był martwy. Profesor natychmiast nas o tym powiadomił. W tej sytuacji, sama pani rozumie, ze względów czysto formalnych muszę zapytać, co państwo robili w dniu dzisiejszym, w godzinach, no, powiedzmy, między siedemnastą a dziewiętnastą?

- Oboje byliśmy tutaj, z dziećmi - odpowiedział inżynier Urbański. - Czekaliśmy przecież na telefon od Krysi; miała do nas dzwonić zaraz po powrocie do domu.

- W porządku - skwitował Roszczyk. - Przejdźmy zatem do następnej sprawy.

- Wybacz pan, ale na moment wyjdę... Muszę wziąć jakieś krople na uspokojenie, ta wiadomość tak mną wstrząsnęła - powiedziała cicho pani Urbańska.

- Rozumiem doskonale, proszę się nie krępować.

Za chwilę obaj mężczyźni zostali sami.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - zapytał sympatyczny olbrzym.

- Oczywiście, chciałbym usłyszeć wszelkie możliwe informacje o zmarłym; jakimi ludźmi się otaczał, jaką miał opinię itd. itd. - rozumie pan. Aby dojść do osoby mordercy, muszę wszystko wiedzieć o ofierze. Czy miał jakichś przyjaciół?

- Żona nie słyszy, mogę więc powiedzieć w zaufaniu, że on miał raczej przyjaciółki i nawet lubił się tym chwalić w męskim towarzystwie. Jeżeli chodzi o przyjaciół, to znam tylko jednego, który został mu jeszcze z lat dziecinnych, mianowicie Zygmunta Krzyckiego. Nie wiem, jakim cudem ten go się jeszcze trzymał, wydaje mi się jednak, że i Janusz był do niego bardzo przywiązany, mimo że traktował go trochę z góry; ale może tak mi się tylko zdawało. O, idzie moja żona, oddaję jej pałeczkę.

- Już mi lepiej, co chciałby pan usłyszeć?

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, co spowodowało konieczność umieszczenia siostry w zakładzie w Klimowie?

- Oczekiwałam tego pytania. Krysia leczyła się na nerwy, poza tym jest zupełnie zdrowa. A przyczyn jej rozstroju nerwowego mogę się tylko domyślać, bo ona nigdy nie skarżyła się przede mną; widziałam jednak, że coś ją gnębi. Bardzo kochała Janusza, który był od niej dużo starszy i traktował ją trochę jak dziecko, mimo że miała swój zawód i zdobyła w nim pewną pozycję. No cóż,

o umarłych nie należy mówić źle, ale on miał różne przygody i dłuższe romanse. Krysia Lilka razy chciała się z nim rozwieść; choć go kochała - nie mogła znieść tego poniżenia. Wtedy on błagał o przebaczenie, przyrzekał, że to ostatni raz... a po pewnym czasie wszystko zaczynało się na nowo. Ona się już chyba w końcu przyzwyczaiła do tego, bo przestała tak silnie reagować, za to więcej poświęcała się swojej pracy; zdobyła też kilka nagród za projekty dekoracji. Stawała się jednak coraz smutniejsza i bardzo nerwowa. Ostatnio było już z nią zupełnie źle... Z pewnością domyślała się jaką rolę w życiu Janusza zaczęła odgrywać dotychczasowa jej przyjaciółka - Liliana Krzycka. Ta podwójna zdrada doprowadziła do tego, że Krystyna wpadła w rozstrój nerwowy i musiała się leczyć w zakładzie. Kuracja okazała się skuteczna, siostra czuła się znacznie lepiej i jak pan wie, dzisiaj właśnie miała wrócić...

Urbańska rozplakała się serdecznie. Mąż gładził ją uspokajająco po włosach.

- No już, maleńka, no już... przecież Krysia jest taka młoda, wszystko jeszcze przed nią; przykro mi to mówić, ale chyba dla mojej szwagierki dużo lepiej, że uwolniła się od tego lowelasa.

- Nie będę państwu teraz przeszkadzał - podniósł się z krzesła Roszczyk. - Chciałbym jednak prosić o bezwzględne zachowanie całej naszej rozmowy w tajemnicy, prasa również nie będzie o tej sprawie pisać. Jak tylko będzie można odwiedzić panią Krystynę, zabiorę panią swoim prywatnym samochodem, zgoda?

- Och, dziękuję bardzo, czy zechce pan nas informować o przebiegu dochodzenia?

- Oczywiście, w dozwolonych granicach. Dziękuję za pyszną kawę. Jeszcze jedno... Może pani wie, gdzie pracuje pani Krzycka?

- Jest kierowniczką zakładu kosmetycznego „Afrodyte”. To takie różowe pudełeczko na placu Trzech Krzyży.

- Raz jeszcze dziękuję za informacje. Zostawiam państwu swoje telefony na wypadek, gdyby zaszło coś, co odbiegałoby od normy, albo gdyby państwo przypomnieli sobie coś, co ma związek z Januszem Zawidzkim. Do widzenia.

Wreszcie około godziny dwudziestej trzeciej Roszczyk dotarł do swego kawalerskiego mieszkania. Gdy tylko znalazł się w pokoju, chwycił za słuchawkę i połączył się z komendą, aby wydać polecenie stałej obserwacji Krzyckich. Następnie zadzwonił do Kowalskiego i podzielił się z nim informacjami uzyskanymi od Urbańskich. Ustalili, że od jutrzejszego dnia porucznik zacznie prowadzić dochodzenie na terenie wydawnictwa, w którym pracował Zawidzki.

Odkładając słuchawkę kapitan przypomniał sobie, że nie jadł dziś obiadu; poczuł, jak bardzo jest głodny. Niechętnie zajrzał do lodówki i oniemiał. W oczy rzucił mu się maleńki bukiet wiośennych stokrotek w słoiku po dżemie oraz karteczka. „Nie jestem żoną z orchideami, mogę być dziewczyną ze stokrotkami. Lodówka zaopatrzona, smacznego!”

Ze wzruszeniem pomyślał o Lucynie. Nic sarka, jak inne, gdy on jest ponad normę zajęty sprawami zawodowymi, dba o niego...

Wyjął kwiatki z lodówki, wstawił je do porcelanowego wazonika i umieścił na stoliczku koło tapczanu. Następnie nakręcił znajomy numer. Odezwał się zaspany sopran.

- Halo, kto mówi?

- To ja, Marcin. Już spałaś. Lucy? Co tak wcześniej?

- Ładnie mi wcześniej, północ dochodzi, nie zauważyłaś?

- Nie zauważyłem. Szczęśliwi i zakochani czasu nie liczą. Przyszedłem zgłodniały jak wilk, zmęczony jak pies i ze strachem pomyślałem o pustej lodówce. Wyobrażam sobie, ile godzin musiałaś spędzić w kolejkach, aby te wszystkie cuda zdobyć. Jak ja ci się za to odwdzięczę?

- Zastanowię się nad tym w odpowiedniej chwili. Wiesz, Marcin, zaczynam się już trochę łamać...

- Lucy, czy to znaczy, że mam się starać o większe mieszkanie?

- Nie bądź taki szybki Bill. Porozmawiamy przy najbliższej okazji. Do jutra, kochany!

## DZIEŃ DRUGI. WTOREK

Z samego rana w mieszkaniu państwa Krzyckich zjawił się konserwator z Urzędu Telekomunikacji. Sprawdził aparat telefoniczny, niektóre przewody, wymienił jakieś części i wyszedł, żegnany zdziwionymi spojrzeniami obojga małżonków.

O dziewiątej na biurku kapitana Roszczyka znalazły się dwa komplety odcisków palców: jedne zebrane przez pseudomontera (w życiu codziennym - sierżanta Borka) w mieszkaniu Krzyckich, a drugie uzyskane w wyniku pracy ekipy technicznej w mieszkaniu zamordowanego. Zidentyfikowano rozsiane w całym domu Zawidzkich odciski palców obojga Krzyckich - odciski na rewolwerze należały jednak do innej osoby. Identyczne odciski znaleziono w kuchence i łazience, były one zresztą bardzo stare i tylko przypadkiem się zachowały.

A więc to nie Krzycka strzelała - myślał kapitan. - Ale to pewne, że morderstwa dokonała osoba, która w swoim czasie była częstym gościem redaktora. Może jakaś dawna sympatia?

Postanowił natychmiast przesłuchać Krzyckich. Sierżant Grabowski, obserwujący ich od rana, zawiadomił, że Krzycka pojechała już do pracy, to jest do Zakładu Kosmetycznego „Afrodyte”. Krzycki natomiast pozostawał nadal w domu. Kapitan polecił sprowadzić go do komendy na godzinę jedenastą, sam zaś udał się na plac Trzech Krzyży.

Przez oszklone drzwi, zasłonięte różowymi firaneczkami, dostał się do równie różowego wnętrza. Minął kilka pomieszczeń, wypełnionych miękkimi, różowymi kanapkami, uśmiechnął się mile do rudej recepcjonistki w różowym fartuszk i ze zdumieniem obejrzał się na kilku panów, wychodzących z boksów, zasłoniętych różowymi kotarami. Dobrnął wreszcie do różowych drzwi, opatrzonych napisem „Kierownik”, zapukał i za chwilę znalazł się w miniaturowym różowym gabinecie.

Na szczęście kolor ten harmonizował świetnie z jasnymi włosami i fiołkowymi oczami pani kierownik, ubranej dla kontrastu w elegancko skrojony fartuch koloru lila. Liliowa przepaska utrzymywała w porządku falujące włosy.

Oczy podłużne, ocienione długimi rzęsami, zgrabny nosek i pięknie wykrojone usta w łagodnym owalu twarzy tworzyły obrazek, przypominający Roszczykowi wisiołek z kameą. Gdy wstała na jego widok, ze znanstwem ocenił piękne nogi i zgrabną figurę pani kierownik. Była zupełnie spokojna i tylko lekkie skrzywienie ust wskazywało, że nie wszystko idzie po jej myśli.

- Jestem kapitan Roszczyk z Komendy Głównej, chciałbym uzyskać od pani kilka informacji.

Uniosła wysoko kształtne brwi.

- Informacji? O zakładzie? O pracownikach? - pytała mocno zdziwiona.

- Nie, tu nie chodzi o sprawy zawodowe, to dotyczy redaktora Zawidzkiego. O ile wiem, zna go pani dobrze, prawda?

- Oczywiście. Mój mąż i ja od dawna przyjaźnimy się z Zawidzkimi, ale wybaczy pan, nie domyślam się celu pańskiej wizyty. Czy recepcjonistka wie, że pan jest z milicji? - zaniepokoiła się nagle.

- Ależ skąd, nie mam zamiaru zatruwać pani życia na terenie zakładu. Jakbym już słyszał te szeptki po kątach... - roześmiał się.

Kierowniczką z widoczną ulgą uśmiechnęła się.

- O czym więc będziemy rozmawiać, panie kapitanie, co ten biedny Janusz znalazł?

Pominał milczeniem jej pytanie.

- Chciałbym dowiedzieć się od pani możliwie jak najwięcej szczegółów o osobie redaktora Zawidzkiego. Co pani o nim wie jako o człowieku, pracowniku, mężu, a także o jego znajomych, przyjaciółach, może przyjaciółkach...

- Po pierwsze powinien pan zwrócić się z tym do mego męża, oni są prawie nierozłączni i znają się chyba od urodzenia, a po drugie nie mogę udzielać informacji o swoich i cudzych znajomych, jeżeli nie wiem, do jakiego celu te informacje będą użyte.

Sprytna bestyjka - pomyślał kapitan. - Czyżby grała za zwłokę? A przy tym taka spokojna... Dobra aktorka czy niewiniątka?

Głośno powiedział:

- Redaktor Zawidzki uległ wczoraj poważnemu wypadkowi, obawiamy się, że ktoś dybał na jego życie. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie i dlatego muszę zebrać jak najwięcej informacji o jego kontaktach zawodowych i prywatnych. Niezależnie od tego muszę także dokładnie ustalić

kolejność wypadków, jakie rozegrały się wczoraj po południu w jego mieszkaniu.

Mimo wszystko nie spodziewał się takiej reakcji... Piękna twarz Krzyckiej powlekła się śmiertelną bladością. Przez chwilę Roszczyk obawiał się, że zemdleje. Nalał szklanek wody z karafki stojącej na stoliku i podał młodej kobiecie. Pila chciwie, aż do dna. Wreszcie odstawiła szklanekę i spojrzała na kapitana z przerażeniem w oczach.

- Na litość boską, panie kapitanie, jaki wypadek? Czy dlatego telefon u niego się nie odzywa? Gdzie on teraz jest, w szpitalu?

- Proszę najpierw odpowiedzieć na moje pytanie: co się działo wczoraj po południu w mieszkaniu redaktora Zawidzkiego, powiedzmy między godziną siedemnastą a dziewiętnastą?

Krzycka już zdołała się opanować.

- Ależ, panie kapitanie, dlaczego przyszedł pan z tym właśnie do mnie, skądże ja mogę to wiedzieć?

- Nie czarujmy się, proszę pani, doskonale wiemy o stosunkach, jakie łączyły panią z Januszem Zawidzkim i stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że wczoraj po południu była pani u niego.

- On to powiedział? - zapytała już mniej pewnie.

- Nie, ale znaleźliśmy tam pełno świeżych odcisków pani palców.

Czy zdawało mu się, że odetchnęła z ulgą?

- To chyba zupełnie normalne - powiedziała spokojnie - skoro oboje z mężem często u nich bywamy.

- Powtarzam: znaleźliśmy odciski zupełnie świeże, a ponadto mamy w tej sprawie zeznanie gospodarza domu oraz krawcowej z piątego piętra.

- Przecież fakt, że byłam wczoraj u krawcowej, nie oznacza, że odwiedzałam także Zawidzkich - upierała się Krzycka.

- Zawidzkiego, droga pani, Zawidzkiego. Poznaje pani ten pierścionek? - położył przed nią plik kolorowych zdjęć. Na jednym z nich widać było fragment futrzanego dywanika z leżącym na nim pierścionkiem, na innych - sam pierścionek w dużym powiększeniu. Wyraźnie odznaczały się literki: L.K.

Krzycka z zainteresowaniem oglądała zdjęcia.

- Ależ to mój pierścionek! Zgubiłam go przed dwoma tygodniami. Skąd ma pan te zdjęcia, panie kapitanie?

- Właśnie: pierścionek leżał sobie spokojnie na dywaniku w alkowie Zawidzkich, mimo że, jak

twierdzi dozorczyńni, odkurzała rano cały lokal i niczego takiego tam nie było. Wiec jak?

Wzruszyła ramionami.

- Ależ to niemożliwe, absolutnie niemożliwe. Ja go tam nie mogłam zgubić, niech mi pan wierzy!

- Jak mogę w to uwierzyć i dlaczego?

- Odpowiem szczerze i zgodnie z prawdą, kapitanie. Ja tego pierścionka nigdy nie wkładałam idąc do Janusza!

- Nigdy? Ale dlaczego?

- Bo... Bo to był prezent od męża na rocznicę ślubu i nie chciałam wykluwać nim oczu Januszowi: zresztą jakoś mi było głupio...

- A więc przyznaje się pani do swojej bytności u Zawidzkiego w dniu wczorajszym?

- A co mam zrobić? Pozory są przeciwko mnie, więc...

- Wobec tego proszę mi opowiedzieć, jak przebiegało to wczorajsze popołudnie. Aha, jeszcze jedno, czy wiedziała pani, że Zawidzki w dniu wczorajszym miał zabrać żonę z zakładu w Klimowie?

- Wiedziałaam, że miała wrócić, ale do siostry.

- O której pani do Zawidzkiego przyszła?

- A czy nie mogłabym się w końcu dowiedzieć, co tam właściwie zaszło?

Roszczyk przecząco pokręcił głową.

- Na razie nie - powiedział poważnie. - A więc słucham panią.

- Czy będzie pan rozmawiał również z moim mężem? - spytała cicho.

- Oczywiście, ale może pani być spokojna, nie zdradzimy pani sekretu, jeżeli, naturalnie, mąż nic o nim nie wie.

- Jasne, że nie wie, skądże. Nawet gdyby mu ktoś powiedział, nie uwierzyłby. Jego wybujala miłość własna nie pozwoliłaby na to. Jak to, jego własna żona z jego własnym przyjacielem? Nie, to nie do pomyślenia! A zresztą, gdyby coś podejrzewał, na pewno poznałabym to po nim; my, kobiety, mamy intuicję...

- Rozumiem, proszę jednak odpowiedzieć na moje pytanie.

- Przepraszam, już zaczynam. Niewiele mam do opowiadania. Poszłam do niego jak zwykle około godziny siedemnastej.

- Ma pani klucz od mieszkania Zawidzkich?

- Nie, nie mam. Janusz wprawdzie chciał mi go dać, ale nie wzięłam, bałam się, że zgubię, albo mąż zobaczy.

- Dobra. Co było dalej?

- Janusz nie jadł jeszcze obiadu, ja również, więc upitrasiałam coś naprędce. Następnie poszłam do kuchni pozmywać, a on w tym czasie załatwiał jakieś telefony. Chciałam zaparzyć kawę, ale przeprosił mnie, że tego wieczoru nie będzie miał dla innie czasu, bo umówił się z kimś w domu na wpół do siódmej, a nie chciałby, aby ta osoba zastała mnie u niego. Później musi pojechać do Urbańskich - zobaczyć się z Krysią. Byłam wściekła: właśnie na szóstą miałam zamówioną wizytę u krawcowej i liczyłam, że wrócę do Janusza i razem spędzimy ten wieczór. Mój mąż miał szesnastogodzinny dyżur w redakcji i nie uśmiechał mi się samotny wieczór w pustym domu. No, ale co miałam robić? Zbierałam się powoli i widziałam, jak Janusz się niecierpliwi. Był wyraźnie zdenerwowany, patrzył to na zegarek, to na drzwi. Dwadzieścia po szóstej pożegnałam się więc i powędrowałam na górę do krawcowej. To wszystko.

- Nie, nie wszystko - ostro skontrolował kapitan. - Do krawcowej przyszła pani dopiero o osiemnastej trzydzieści, dlaczego?

Krzycka spuściła głowę.

- Stałam kilka minut na klatce schodowej, za windą - bąknęła. - Chciałam zobaczyć, kto do niego przyjdzie. Bałam się, że może jakaś kobieta...

- No i kogo pani zobaczyła?

- Nikogo. Usłyszałam wprawdzie kroki na schodach, ale w tym momencie nadjechała winda i zasłoniła mi widok, a za chwilę drzwi Janusza zatrzasnęły się. Wtedy pobiegłam na piąte piętro.

- Co było dalej?

- Wciągnęłam windę i zostawiłam jej drzwi uchylone. Krawcowa nie przygotowała do miary moich sukienek, co było mi na rękę, bo chciałam zobaczyć, kto będzie od Janusza wychodził. Rozmawiałam z krawcową przez kilka minut, wreszcie pożegnałam się. Właśnie kiedy wychodziłam na klatkę schodową, usłyszałam trzaśnięcie drzwi na trzecim piętrze i ktoś zbiegł szybko po schodach. Wskoczyłam momentalnie do windy i zjechałam na dół, ale tam już nikogo nie było.

- A jednak, wychodząc z windy, widziała pani kogoś, kogoś pani goniła. Kto to był?

- Wiec i to pan wie. Trudno, powiem. To była Krysią Zawidzka, ale biegła tak szybko, że mnie nie zauważyła, a ja po tym pierwszym impulsie dałam spokój.



- A czy pani pomyślała, że tylko zbiegiem okoliczności żona redaktora nie zastała tam pani? - zapytał Roszczyk.

- Skądże mogłam przypuszczać, że ona tam wpadnie?

- Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy przed pani wyjściem redaktor Zawidzki nie podchodził do biurka, nie szukał tam jakichś papierów? Na biurku miał porządek, kiedy pani wychodziła?

- Ależ tak, Janusz siedział spokojnie w tym swoim wstrętnym fotelisku, przed takim małym barkiem, przy którym zazwyczaj piliśmy kawę.

- A telewizor był nastawiony?

- Włączył go właśnie, ale nie słyszałam programu.

- Powiedziała pani, że „Janusz był zdenerwowany” - czy odniosła pani wrażenie, że może bał się czegoś w związku z oczekiwaną wizytą?

- Nie, chyba źle się wyraziłam, on tylko robił wrażenie, że jest czymś podekscytowany, raczej chyba w sensie dodatnim, nie umiem tego określić...

- Czy tak mniej więcej jak człowiek, który spodziewa się, że wynik spotkania będzie dla niego korzystny?

- O, właśnie, świetnie pan to wyraził.

- Zawidzki miał rewolwer?

- Miał, trzymał go w środkowej szufladzie biurka.

- A więc praktycznie biorąc ta broń była w zasięgu ręki każdego znajomego Zawidzkiego, który o miejscu przechowywania broni wiedział.

- Właśnie tak. Ale co się tam stało, błagam, niech pan nie trzyma mnie dłużej w niepewności; czy ktoś strzelał do Janusza?

- Nic mi pani jeszcze nie powiedziała o samym Zawidzkim, o jego pracy itd.

- Panie kapitanie, będę z panem szczerą... To, co ja mogę o nim powiedzieć, to są spostrzeżenia zakochanej kobiety. Mnie nie interesuje ani jego praca, ani jego znajomi. Wiem, że miał wiele babek, ale wydawało mi się, że ja będę dla niego „tą z miliona jedną”. Na to przynajmniej - jak dotąd wygląda. Jest zawsze w stosunku do mnie czuły, troskliwy, uważny, a kobiety bardzo są wrażliwe na takie objawy uczuć. Nigdy nie doznałam z jego strony żadnej przykrości, nie czułam nudy ani przesytu; jest dowcipny, błyskotliwy... Kocham go... Widzi pan, mój mąż dawno już wyrósł z tego stanu, co to „uważaj, złotko, bo tu błotko”. Dla niego małżeństwo to pewnego rodzaju instytucja, a żona, to mebel, potrzebny w charakterze domowego robota, czasem w charakterze dekoracji. Często powtarza jako dowcip, że mu ze mną „do twarzy”. A czy mnie się już nic od życia nie należy?

- Rozumiem panią - poważnie powiedział Roszczyk. - Słyszałem, że przyjaźni się pani - czy przyjaźniła się pani z Krystyną Zawidzką. Obecna sytuacja... Czy to nie stało się przyczyną choroby żony redaktora?

- O, co to, to już nie! - zawołała z oburzeniem. - Nigdy bym jej tego nie zrobiła! Związałam się z Januszem dopiero wtedy, kiedy mi oświadczył, że ich małżeństwo właściwie już nie istnieje, po prostu nie ma racji bytu, że Krysią zażądała rozwodu, ponieważ chce mieć dzieci, a on dzieci nie znosi. Mieli się rozwieść natychmiast po odbyciu przez Krosię kuracji w Klimowie.

- I uwierzyła mu pani tak bez zastrzeżeń?

- Są rzeczy silniejsze od człowieka, do nich należy miłość. A wówczas wierzy się we wszystko, w co się chce wierzyć, panie kapitanie. Tyle tylko mogę panu powiedzieć od siebie. Od mego męża może się pan dowiedzieć wszystkiego innego, ale teraz błagam, niech mnie pan dłużej nie dręczy, niech mi pan powie wreszcie, co z Januszem, gdzie jest; w jakim stanie?

Trudno było jej nie wierzyć. W oczach, wpatrzonych w niego z niepokojem, dostrzegł łzy, których nie próbowała nawet powstrzymać. Roszczykowi żal się jej zrobiło, tym bardziej że w jakiś sposób przypominała mu Lucynę. Ale musiał doprowadzić przesłuchanie do końca.

- Proszę mi jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Jakich perfum pani używa?

- „Soir de Paris” - odpowiedziała bez namysłu, choć ze zdziwieniem. - Z góry jednak zaznaczam, że Janusz nie znosi perfum i dlatego nie perfumowałam się nigdy, idąc do niego.

Roszczyk uniósł brwi do góry, przyglądając się jej uważnie.

- Czyżby razem z pierścionkiem znalazł pan także moje perfumy? - zapytała trochę drwiąco.

- Trafiała pani w dziesiątkę. Za kotarą czuło się intensywny zapach kobiecych perfum - tych właśnie.

- Nic z tego nie rozumiem... - wyszeptała.

Kapitan westchnął i powiedział bardzo poważnie.

- Przykro mi, proszę pani, ale muszę panią poinformować, że redaktor Janusz Zawidzki nie żyje; został zamordowany wczoraj po południu.

Zerwała się gwałtownie.

- Janusz! Nie żyję?! To nieprawda, niech pan powie, błagam, to nie może być prawda!

- Niestety, proszę pani! Szczerze pani współczuję, ale trudno mi nie pomyśleć i tego, że jest jeszcze ktoś, komu moje współczucie bardziej się należy. Proszę mi wybaczyć tę brutalną szczerzość. Ale widzi pani... rodzina pani Zawidzkiej nie przewidywała obecnie rozwodu w tym małżeństwie. A teraz postaram się uwierzyć w to, co mi tu pani powiedziała, ale tylko do momentu, w którym

przekonam się, że nie wszystko jest prawdą. I jeszcze bardzo panią proszę o zachowanie naszej rozmowy w tajemnicy, ja zaś ze swej strony przyrzekam całkowitą dyskrecję. Do widzenia pani; mam jeszcze, co prawda, cały szereg pytań, ale zostawię je na później, kiedy wróci już pani trochę do równowagi.

Niezbyt z siebie zadowolony, Roszczyk przemierzył szybko obrzydliwe różowe wnętrza, które przyprawiało go niemal o mdłości, i z westchnieniem prawdziwej ulgi wydostał się na świeże, kwietniowe powietrze.

Po powrocie do komendy chciał jak najprędzej podzielić się zebranych informacjami z porucznikiem Kowalskim, nie było go jednak jeszcze. Polecił więc wprowadzić Krzyckiego, który czekał już w korytarzu.

Za chwilę w pokoju zjawił się dość wysoki, mocno zbudowany, lekko szpakowaty mężczyzna w eleganckim, świetnie skrojonym garniturze. Wyglądał zupełnie tak, jak go sobie Roszczyk wyobraził na podstawie opisu dozorczyń.

W pokoju nie było protokolanta, ale na biurku stał już przygotowany magnetofon. Na żądanie kapitana Krzycki podał swoje personalia. Kapitan dłuższy czas milczał i lustrował uważnym spojrzeniem siedzącego naprzeciw niego mężczyznę, w którego oczach uważny obserwator zauważyłby iskierki lekkiego rozbawienia. Wreszcie padło pytanie, którego delikwent i pewnością się nie spodziewał.

- Jak pan myśli, w czyim interesie leżało zamordowanie redaktora Zawidzkiego?

Zdziwiony i przerażony Krzycki uniósł się mimowolnie z krzesła.

- Co takiego? Co pan mówi, panie kapitanie!

- Pański przyjaciel, redaktor Janusz Zawidzki został w dniu wczorajszym zamordowany i bardzo liczę na to, że pan pomoże nam znaleźć mordercę. Znał go pan ponoć od urodzenia, byliście jakoby nierozłączni, któż więc może mi udzielić lepszych informacji niż pan?

- Zaraz... chwileczkę, panie kapitanie, ja nic z tego nie rozumiem! Janusz zamordowany? To niemożliwe, wprost nieprawdopodobne! Dlaczego?

- Właśnie tego chcemy się dowiedzieć.

Przez chwilę Krzycki wpatrywał się w oficera w osłupieniu.

- Niepodobna w to uwierzyć, przecież w prasie nie było żadnych wzmianek! Co za nieszczęście!... Janusz, taki żywotny, ruchliwy, tyle miał planów na przyszłość...

Roszczyk podał Krzyckiemu szklankę wody; pił dzwoniąc zębami, wreszcie uspokoił się trochę.

- Przepraszam, panie kapitanie, ale tak mną to wstrząsnęło! Proszę zrozumieć, to był mój najlepszy i bodajże jedyny prawdziwy przyjaciel.

- Rozumiem pana doskonale, ale co się stało, już się nie odstanie, a nam zależy na tym, aby jak najprędzej schwycić i ukarać mordercę, dlatego proszę, niech się pan stara skupić i odpowie na moje pytania.

- Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Ale co tam właściwie zaszło, panie kapitanie? Ktoś go napadł w mieszkaniu? A Janusz nie bronił się? Miał przecież rewolwer!

- O właśnie; wiedział pan o tym, że Zawidzki ma rewolwer?

- Oczywiście, wszyscy jego znajomi o tym wiedzieli.

- Do czego był mu potrzebny ten rewolwer?

- Teraz do niczego, ale uzyskał zezwolenie na broń kilkanaście lat temu, kiedy był reporterem na wielkich budowach w województwie wrocławskim. U niejednego miał wtedy krechę i wychodząc wieczorami z domu, musiał dobrze uważać.

- To bardzo ciekawe, nie sądzi pan wobec tego, że mordercy należy szukać wśród tych dawniejszych pseudo znajomych? Może komuś się wtedy naraził?

- Czy ja wiem, tyle lat minęło, kto by tam czekał aż do dzisiaj? Mnie się raczej wydaje, że to może być sprawka jakiejś, zazdrosnej kobiety.

- Dlaczego pan tak myśli?

- No, co tu będę ukrywał, pan kapitan już i tak na pewno wie, że w życiu Janusza kobiety odgrywały dużą rolę i często je zmieniał. Zazdrość kobiet to straszna rzecz. A widział pan kiedy, kapitanie, jak one strzelają? Naciskają spust, zamykają oczy i strzelają tak długo, aż rewolwer zacznie parzyć. Wtedy rzucają go na podłogę.

- To całkiem niegłupie, co pan mówi, a ma pan może kogoś konkretnego na myśli? Sprawdziłibyśmy.

- Konkretnego? Nie, skądże, zresztą nigdy nie rozmawiałem z nim na temat jego romansów, wie pan... coś mi się obilo o uszy, że był ostatnio z kimś związany i zamierzał właśnie ten związek zlikwidować. No, rozumie pan - ciężka choroba Krystyny... Po powrocie żony z zakładu mieli razem wyjechać na wycieczkę do Wioch, wiem, że Janusz już nawet zarezerwował miejsca w autokarze, sam mi o tym wspominał.

- To bardzo ważna informacja, dziękuję panu, powrócimy jeszcze do tego tematu, ale teraz prosiłbym, aby mi pan opowiedział jak najwięcej o samym Zawidzkim. Jakiego pokroju był to człowiek, jaką cieszył się opinią w pracy, wśród znajomych, czy przyjaźnił się z kimś poza panem itd. itd. A w ogóle czy słyszał pan o jakichś jego krewnych?

- Zacznę od ostatniego pytania. O ile wiem. Zawidzki miał tylko starszego brata, gdzieś pod Toruniem, ale prawie nie utrzymywał z nim kontaktów. Tamten jest rolnikiem, prowadzi jakąś tuczarnię. Jeśli chodzi o przyjaciół czy ja wiem... Widywałem u niego kilku redaktorów z jego

wydawnictwa, ale nie sądzę, aby się z którymś z nich przyjaźnił. Janusz nie był specjalnie lubiany w redakcji. Przerastał swoje otoczenie inteligencją, spostrzegawczością, jasnością sądu, a takich rzeczy się nie przebacza. On też specjalnie się do ludzi nie garnał, tym bardziej że miał czas kompletnie wypełniony: praca zawodowa, jakieś chałtury, książki, telewizja, kobiety - to wszystko absorbowało go prawie bez reszty. Sam się dziwię, że zawsze potrafił wygospodarować trochę czasu dla mnie. Miał we mnie wdzięcznego słuchacza, lubił się więc dzielić ze mną swoimi wrażeniami i spostrzeżeniami. Chodziliśmy we dwójkę do kina, aby później dyskutować na temat obejrzanego filmu; jeździliśmy często na ryby. Proszę mi wierzyć, panie kapitanie, że jego śmierć jest dla mnie niepowetowaną stratą i trudno mi będzie pogodzić się z tym faktem. Bardzo chciałbym pomóc w schwytaniu mordercy, ale nie znam nikogo, kto miałby dostateczne powody do popełnienia tak strasznego czynu.

- Rozumiem. Jeszcze w kwestii formalnej: co pan robił w dniu wczorajszym w godzinach od siedemnastej do dziewiętnastej?

Krzycki uśmiechnął się mimo woli.

- Sprawdza pan moje alibi? Po prostu miałem dyżur W PAP-ie od szesnastej do ósmej rano.

- Dziękuję. Nie będę już pana dzisiaj męczył, proszę tylko dać mi znać, gdyby coś się panu przypomniało.

- Czy będzie pan rozmawiał również z moją żoną?

- Już to zrobiłem przed godziną.

- Ach tak... Przypuszczam, że nie przejęła się zbytnio. Nie lubiła Janusza i często miała do mnie pretensję, że poświęcam mu zbyt wiele czasu.

Kapitan uśmiechnął się zdawkowo i wstał, dając Krzyckiemu do zrozumienia, że przesłuchanie skończone.

Po wyjściu Krzyckiego Roszczyk zamyślił się głęboko. Nie dawały mu spokoju te ślady na rewolwerze, zadzwonił więc do pracowni daktyloskopijnej, aby przyspieszyć nadesłanie ekspertyz. Dowiedział się, że właśnie je do niego wysłano, nie pytał więc o nic.

Istotnie po kilku minutach zameldował się u niego funkcjonariusz z szarą kopertą. Z protokołów wynikało, że odciski na rewolwerze należały do pani domu, Krystyny Zawidzkiej. A więc domysły kapitana były słuszne... Morderca wytań rewolwer, a Zawidzka, wpadłszy do mieszkania, musiała odruchowo chwycić broń do ręki.

Roszczyk nakręcił numer telefonu profesora Wielowieyskiego. Dowiedział się, że pacjentka w dalszym ciągu znajduje się w stanie oszołomienia i nie ma mowy aby ją nękać pytaniami.

- Może jutro w południe uda się zamienić z nią kilka słów - powiedział na koniec Wielowieyski.

- Panie profesorze, czy pani Zawidzka była w rękawiczkach, kiedy ją pan spotkał na ulicy?

- Z całą pewnością - nie.

- A kiedy pan wszedł do mieszkania, telewizor był włączony?

- Nie, panowała zupełna cisza i nie paliły się żadne światła, a story były zaciągnięte. Zapaliłem więc w przedpokoju i w pokoju. Poza tym wszystko zostawiłem tak, jak zastałem.

- A pan był w rękawiczkach, otwierając drzwi?

- Tak. Zdjąłem je dopiero w chwili, kiedy dotknąłem zwłok. Słuchawkę telefonu brałem już przez chusteczkę.

- Serdecznie dziękuję, panie profesorze. A więc zgłoszę się jutro w południe wraz z panią Urbańską.

- Zgoda, ale przedtem proszę się ze mną porozumieć telefonicznie.

- Oczywiście, jeszcze raz dziękuję.

No tak - mruknął do siebie kapitan - jeden problem mam z głowy; pozostaje drugi: kto i dlaczego? Tylko tyle! - zaśmiał się sam z siebie. Zidentyfikowanie śladów palców Zawidzkiej na rewolwerze zmieniało sytuację pięknej Liliany w sposób zasadniczy. Wiedziała, gdzie leży rewolwer, miała dosyć czasu na dokonanie morderstwa, mogła swobodnie poruszać się po mieszkaniu. A motyw? Istniał również - zazdrość. Jak wynika z zeznań Krzyckiego, Zawidzki zamierzał ją porzucić. Jeżeli „zwierzył się” z tego przyjacielowi, to najprawdopodobniej w nadziei, że on nieświadomie poinformuje o tym żonę. W ten sposób Zawidzki nie musiałby jej nic tłumaczyć. Bardzo sprytnie wykombinowane. Trzeba koniecznie sprawdzić, jak z tą rezerwacją miejsc na wycieczkę do Włoch.

Rzecz dziwna, ale Roszczykowi jakoś trudno było uwierzyć w winę Krzyckiej. W jej zeznaniach nie mógł doszukać się farszu, z wyjątkiem punktu, dotyczącego kilkunastu minut spędzonych na schodach. Wyczuwał w tym coś niejasnego, coś chciała ukryć - ale co? Może podczas następnego przesłuchania uda się wycisnąć z niej więcej.

Skończmy z hipotezami - skarcił sam siebie - i tak niczego nie da się ustalić bez przesłuchania Zawidzkiej.

Zadzwoił do Wydawnictwa, w którym pracował Zawidzki i zapytał o porucznika Kowalskiego. Dowiedział się, że wyszedł stamtąd jakieś dwie godziny temu, pozostawiając na miejscu porucznika Sikorę. Ze słów Sikory wynikało, że Kowalski, jak to się mówi - „złapał wiatr” i poszedł za tropem. Należało więc zaczekać na jego relację.

Kapitan już miał wyskoczyć do bufetu, żeby coś przekąsić, gdy zadzwonił telefon. Zgłaszał się Kowalski, mocno podekscytowany. Prosił kapitana o skontaktowanie się z kolegami z wrocławskiej komendy, aby zebrali jak najwięcej informacji o profesorze Zamorskim, działającym w tamtejszym

oddziale Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Kowalski obiecał wrócić do komendy w ciągu godziny.

Roszczyk połączył się z Wrocławiem, podał dane dotyczące profesora Zamorskiego, prosił o pośpiech. Teraz mógł wreszcie zejść do bufetu i wzmocnić nadwątlone siły solidną porcją jajecznicy z kiełbasą oraz szklanką herbaty.

Kiedy tak podtrzymany na duchu i ciele wracał do swego pokoju, spotkał na korytarzu Kowalskiego.

- Masz już coś dla mnie? - wpadł na Roszczyka jeszcze w drzwiach.

- Wrocław odezwie się chyba niedługo, ale jak chcesz, to połącz się i sam ich popędź. Muszą mieć przecież trochę czasu na zebranie takich informacji.

- No, fakt. Trzeba zaczekać. Słuchaj, jestem skonany i śmiertelnie głodny, może zorganizujemy na miejscu jakiś posiłek?

- Dobra, zacznij wreszcie gadać, a ja ci zamówię coś z bufetu.

Kowalski z ulgą opadł na wygodny fotel.

- Znam trochę rodzaj pracy w takich wydawnictwach i dlatego nastawiłem się na wywęśnienie jakiegoś cichego skandaliku, który mógł tego redaktorka kosztować życie. Wierz mi, że w takich szacownych murach można znaleźć bardzo wiele całkiem ładnych historyjek. I wyobraź sobie, że udało mi się wyłowić kilka spraw, stawiających morale tego Zawidzkiego w dość dziwnym świetle. Wiesz, podejrzewam nawet, że uprawiał różne szantażyki; nie tylko na terenie wydawnictw, ale i na zewnątrz również. Zrelacjonuję ci to wszystko, tylko mi nie przerywaj, bo się zgubię. - Dobra, puszczaj tę swoją płytę, cały zamieniam się w słuch.

## OPOWIADANIE PORUCZNIKA KOWALSKIEGO

A więc punktualnie o ósmej zameldowałem się u dyrektora wydawnictwa. Starszy, solidnie wyglądający pan, około sześćdziesiątki.

Oświadczyłem, że prowadzę dochodzenie w sprawie wypadku, jakiemu uległ redaktor Zawidzki. Dyrektor bardzo się zdziwił, ale nie wyglądał mi na przejętego.

Wypadek? Co pan powie? Właśnie nie wiedzieliśmy, czemu nie zjawił się jeszcze w redakcji, a jego telefon nie odpowiadał. Chyba nic poważnego, pewnie wypadek samochodowy?

Kowalski aktorsko podrabiał głos i gestykulację nieznanego dyrektora, Roszczyk uśmiechnął się pod nosem.

- Nie - odpowiedziałem - to coś znacznie gorszego. Został zamordowany w swoim własnym mieszkaniu. Przyjechałem zatem, żeby zebrać o waszym pracowniku jak najwięcej wiadomości. Pan dyrektor rozumie: prowadzimy śledztwo - -żmudna praca milicyjna.

Faceta zamurowało. Wreszcie odzyskał mowę:

- Zamordowany? Zamordowany! Ależ chyba nie sądzi pan, że ktoś od nas mógłby być mordercą?!...

- Od sądenia są sędziowie, my natomiast jesteśmy od tego, aby znaleźć mordercę, bez względu na środowisko, w jakim się obraca.

- Oczywiście - zgodził się skwapliwie dyrektor. - A zatem w czym mógłbym panu pomóc, panie poruczniku?

- Przede wszystkim prosiłbym o przekazanie mi w sposób obiektywny wszelkich informacji dotyczących redaktora Zawidzkiego. Interesują nas także opinie, a nawet krążące na jego temat plotki. Jemu one już nie zaszkodzą, a nam mogą pomóc dotrzeć do źródła tragedii.

- Rozumiem. No cóż - zaczął dyrektor - wiele tego nie będzie, choć Zawidzki pracował u nas blisko piętnaście lat. Miał za sobą studia rolnicze oraz staż dziennikarski w województwie wrocławskim. Dobry i zdolny pracownik, ale... okien przy nim nie trzeba było zamykać - nie orzeł, nie poleciał, jak to się popularnie mówi. Za to świetny organizator i wolę miał żelazną, można by nazwać to ambicją... Parł do przodu jak czołg. I tak dorobił się funkcji kierownika dużej samodzielnej redakcji; został również członkiem kolegium redakcyjnego. Jak wysoko mierzył, nie wiem; może polował już na mój fotel? Za dwa lata wybieram się na emeryturę, droga byłaby otwarta. Czy by się na to nadawał? No... funkcja dyrektora w tego rodzaju przedsiębiorstwie wcale nie jest łatwa, niech mi pan wierzy. Tak zwane środowisko „twórcze” jest bardzo zróżnicowane; co krok to wygórowane ambicje, zawiść, konkurencja... Tu ścierają się ze sobą różne aspekty, sprawy prywatne, walka o stanowiska, o honoraria, nagrody, premie, wyjazdy zagraniczne itp. A dyrektorowi nieraz trudno „wyznać się” w tym wszystkim i ocenić ludzi tak, jak na to zasługują.

- Miał pan dyrektor podobne kłopoty z Zawidzkim? - zainteresowałem się. Przytaknął. - Coś w tym rodzaju. Wie pan. do pasji doprowadzają mnie ludzie, którzy nie uznają żadnych mierników porównawczych i nie potrafią odróżnić drobiazgów od rzeczy ważnych i istotnych. Wszystko oceniają z jednej perspektywy. A Zawidzki był właśnie taki.

- Może jakiś przykład?

- Oczywiście. Niech pan posłucha. Jeden z redaktorów tzw. „prowadzących” w redakcji Zawidzkiego przygotowywał do druku pewną książkę, która pod względem merytorycznym została opracowana „na zlecenie” przez kogoś z zewnątrz. Nasz redaktor stwierdził szereg niedociągnięć w opracowaniu tego tytułu i zgłosił to Zawidzkiemu, czym naraził mu się śmiertelnie, ponieważ, jak się potem okazało, redaktorem z zewnątrz był znajomek Zawidzkiego. Jako kierownik, Zawidzki zaczął stosować takie szykany w stosunku do tego sumiennego pracownika, że dla świętego spokoju przeniósłem gościa do innej pracy, może nawet i lepszej. Do dziś dnia jestem jednak wściekły na siebie, że nie zareagowałem wtedy mocniej wobec Zawidzkiego. Ale wie pan, jak to jest: nie chciałem wprowadzać do instytucji niezdrowej atmosfery podniecenia i wojny podjazdowej.

- Czy pan dyrektor stykał się z Zawidzkim na terenie towarzyskim?



- Nie, nigdy, nie znam nawet jego żony: słyszałem, że była ostatnio w szpitalu, szczegółów jednak nie znam.

- A nie dotarły do pana jakieś pogaduszki na temat męsko-damskich spraw redaktora?

- Owszem, dotarły, ale tym to już naprawdę nie chcę się zajmować. Myślę, że sekretarz redakcji poinformuje pana porucznika bardzo szczegółowo w tej materii. - I dyrektor uśmiechnął się znacząco, co mnie trochę speszyło. Po chwili jednak spoważniał:

- A co się właściwie dzieje z żoną Zawidzkiego, czy możemy jej w czymś pomóc?

- Na razie w niczym jej pomóc nie można. Doznała szoku i przebywa w klinice, pod dobrą opieką. A propos, może pan dyrektor wie coś o krewnych czy przyjaciółach Zawidzkiego?

- Nie. On nie należał do ludzi, którzy lubią o sobie mówić. Przypadkowo znam jedynie jego przyjaciela z lat dziecińczych, Zygmunta Krzyckiego; po prostu jako pracownik PAP-u współpracuje z nami od czasu do czasu. Zawidzki chciał go nawet przeflancować do swojej redakcji, Krzycki jednak odmówił, motywując żartobliwie, że nie ma ochoty zmieniać przyjaciela na zwierzchnika.

Na biurku dyrektora rozdzwoniły się telefony, spojrzał na mnie znacząco.

- Czy jeszcze w czymś mogę panu pomóc, panie poruczniku?

- Prosiłbym o przydzielenie mi jakiejś klitki, gdzie mógłbym swobodnie przesłuchiwać personel oraz o udostępnienie akt personalnych, a także dokumentów redakcyjnych. Będę musiał również dokładnie spenetrować pokój redaktora Zawidzkiego.

- Bardzo proszę zaraz sprowadzimy tutaj sekretarza redakcji, aby się panem zajął - powiedział dyrektor.

No i wyobraź sobie, za chwilę do pokoju wmaszerowała zamaszyście postawna brunetka około trzydziestki, uczesana na pazia, w sportowych półbutach, szerokiej spódnicy „midi” koloru miodu i w brązowym golfie, opinającym kształtne piersi. Twarzy nie miała może pięknej, ale regularne rysy, wyraziste, podłużne, szare oczy i skóre do uśmiechu usta. Jednym słowem całość miła dla oka.

- Ty wracaj lepiej do tematu, bo do wieczora nie skończysz - uśmiechnął się Roszczyk.

- Pani Grażyna Marciszewska, bo tak się nazywa - ciągnął nie speszony porucznik - podała mi rękę i obejrzała ciekawie od stóp do głów, a ja uzbroiłem się w jeden z moich najbardziej uwodzicielskich uśmiechów; w duchu byłem zadowolony, że na tę wizytę w wydawnictwie wbiłem się w swój nowy garnitur. On jest naprawdę świetnie uszyty!

Roszczyk z rezygnacją westchnął i wyciągnął kolejnego papierosa.

- Dyrektor wprowadził panią Grażynę w tzw. meritum sprawy - opowiadał dalej Kowalski - i jak mi się zdawało, z ulgą przekazał mi w jej kształtne rączki. Po pierwsze zainteresowałem się, gdzie przechowują klucze od pokoi.

- W zasadzie na tablicy w portierni - odparła moja nowa rozmówczyni - ale ja mam zapasowy klucz od gabinetu redaktora Zawidzkiego, bo często muszę tam wchodzić po różne akta. To mój pokój. Proszę, wejdźmy na chwilę; te następne drzwi - to właśnie Zawidzkiego. Wezmę tylko klucze z niego biurka.

- Pokoje nie łączą się ze sobą? - Nie; tak jakoś to głupio rozwiązano.

Gabinet Zawidzkiego umeblowany był szablonowo, ale zasobnie. Mahoniowe biurko, wielka szafa częściowo oszklona, wypełniona grubymi tomami, specjalna etażerka pod telefony. W jednym rogu konferencyjny stolik i cztery wygodne foteliki. Podłoga pokryta dywanem w kolorowy deseń, stylonowe firanki... Harmonię psuł tylko staromodny, obracany fotel za biurkiem. Przypominał mi ten obskurny bujak w jego mieszkaniu.

Pani Grażyna wskazała mi jeden z fotelików, a sama przysiadła na drugim.

- Więc spodziewa się pan u nas znaleźć mordercę? - nawróciła do rozmowy rozpoczętej jeszcze w gabinecie dyrektora.

- Kto wie, wszystko jest możliwe na tym nie najlepszym ze światów.

- Chyba nie mówi pan tego na serio! - obruszyła się. - Nie wiem, może się mylę, ale wydaje mi się, że do popełnienia morderstwa trzeba jakichś specjalnych predyspozycji psychicznych, takich jak brutalność, gwałtowność, brak opanowania, a to są cechy ludzi prymitywnych. Tutaj raczej inne środowisko... Nie wiem, czy dobrze mnie pan rozumie? - zaniepokoiła się.

- Chyba rozumiem - odpowiedziałem spokojnie. - Chodzi pani o to, że w tej instytucji pracują przeważnie ludzie z wyższym lub przynajmniej średnim wykształceniem, wymodelowani przez otoczenie, w którym się obracają - jakby wyszlifowani - i obce są im aż tak gwałtowne reakcje. Kalkulują na zimno. Pod pewnym względem ma pani rację, ale proszę nie zapominać, że i tacy potrafią zabijać, tylko zazwyczaj w bardziej wyrafinowany sposób.

- Chyba tak... - powiedziała zamyślona. Nagle uśmiechnęła się: - Ale ja tu zajmuję panu czas filozoficznymi rozmyślaniami, a pan na pewno się niecierpliwi. Od czego zaczniemy?

- Może na początek \* - poprosiłem - opowie mi pani wszystko, co zdarzyło się w redakcji w dniu wczorajszym, jak przebiegało urzędowanie, czy tak jak zawsze, czy też były np. jakieś niecodzienne telefony, wizyty, itd. Może pani mówić zupełnie swobodnie, przecież Zawidzkiemu nic już pani nie zaszkodzi.

- Właściwie wszystko odbywało się według utartego szablonu. Redaktor przyszedł jak zwykle dziesięć po siódmej, podpisał wczorajszą pocztę, przejrzał nową, oddał mi ją do zadekretowania i rozdzielenia między pracowników. Następnie przyjął kilku autorów i opiniodawców normalka. Nawet nie wychodził na miasto. Skończył pracę o wpół do czwartej.

- Proszę mi wobec tego wyjaśnić, jak odbywa się przyjmowanie prac do waszej redakcji: kto zgłasza tematy, autorów, kto akceptuje, ustala stawki honorariów itd.

Kiedy wyczerpująco naświetliła mi te kwestie, spytałem:

- Czy dużo nowych prac wpłynęło w ostatnich dniach?

- Raczej nie. Mogę podać dokładnie - prowadzę odpowiednią kartotekę.

- Chciałbym ją przejrzeć. Może przejdziemy do pani, aby nie taskać tego pudła tutaj? - zaproponowałem.

Zamknąłem drzwi do gabinetu Zawidzkiego i klucz schowałem do kieszeni. W sekretariacie pomogłem pani Grażynie wyciągnąć z szafy dość dużych rozmiarów skrzynkę, wypełnioną kolorowymi kartonikami.

- Lubiła pani redaktora Zawidzkiego? - zapytałem znienacka, wertując alfabetycznie ułożone karty.

Dziewczyna spieszyła się wyraźnie.

- Och, nie byłam przygotowana na takie pytanie, muszę się zastanowić nad odpowiedzią.

- Jeżeli musi się pani zastanowić nad tak prostym pytaniem, to chyba coś jest nie w porządku, prawda?

Zaczerwieniła się, widocznie trafiłem w sedno.

- Nie, dlaczego? - obruszyła się. - Widzi pan, redaktor Zawidzki był moim zwierzchnikiem blisko pięć lat i ten układ stał się dla nas chlebem powszednim. Szanowałam go, wykonywałam jego polecenia, a on z kolei też zachowywał się zawsze fair w stosunku do mnie; może dlatego, że mam ojca na stanowisku? Jednym słowem - pełna kultura obcowania na co dzień. Dlatego też nigdy nie zastanawiałam się, czy go lubię, czy nie. Dla mnie to była wyłącznie osoba urzędowa i absolutnie nie miałam zamiaru ani ochoty zmieniać tego układu.

- Nie bardzo w to wierzę - odpariłem. - Zazwyczaj ludzie mają zupełnie sprecyzowany stosunek do zwierzchników, a zwłaszcza w układzie kobieta-mężczyzna. Można go lubić albo nie, można traktować obojętnie, ale wie się o tym. A więc jak to było u pani, pani Grażyno?

- Zagiął mnie pan - przyznała z uśmiechem - ale ja miałam dosyć skomplikowaną sytuację. Zawidzki, zawsze uprzejmy i uważny w stosunku do mnie, często inaczej odnosił się do moich kolegów i koleżanek; widziałam to i słyszałam. Czasami bywał niesprawiedliwy i bezwzględny, nie liczył się absolutnie z uczuciami innych. Wtedy dosłownie nie cierpiałam go, a zarazem czułam się jakby zawstydzona, że ja osobiście nie mam prawa skarżyć się na niego. Ostatnio jednak tak się zmienił, że aż mnie to zaskoczyło.

- Na czym polegała ta zmiana?

- Trudno mi to zdefiniować, ale jeszcze nie tak dawno czepiał się o byle co. Najmniejsze uchybienie czy spóźnienie wywoływało burzę i długotrwałe dogryzanie. Robił sobie wrogów na

prawo i lewo. Nie podpisywał wniosków o zasłużone podwyżki płac, nagrody, przeszerogowania itd. itd. Aż tu nagle od jakichś dwóch miesięcy zupełnie zmienił front. Stał się o wiele przystępniejszy, bardziej koleżeński, nie czepiał się, raczej pomagał w niektórych sytuacjach. Wyjednał nawet u dyrektora, aby przy większym napływie prac część ich dawać na zlecenia własnym pracownikom, a nie jak to było praktykowane - „na miasto”.

- A co pani myśli o tej zmianie jego nastrojów? - zainteresowałem się.

- Czy ja wiem? Na mnie robił takie wrażenie, jakby był zaabsorbowany zupełnie czymś innym niż sprawy redakcji. Jakby obowiązki służbowe stanowiły zło konieczne, które starał się pokonać jak najmniejszym wysiłkiem. Myślę, że za tym kryła się po prostu kobieta - uśmiechnęła się filuternie pani Grażyna.

- Kobieta? - zdumiałem się szczerze. - Czyżby pani sądziła, że to miłość tak go odmieniła?

- A cóż by innego? - wykrzyknęła spontanicznie. - Chodził taki zamyślony, uśmiechał się do siebie, kiedy sądził, że nikt go nie widzi. Często do kogoś telefonował, odbierał telefony, a nawet wychodził w czasie pracy niby na konferencje do ministerstwa, ale jakie tam konferencje...

- No dobrze, ale przecież on był żonaty... - zauważyłem nieco przewrotnie.

- Właśnie! - wykrzyknęła. - Żona w zakładzie, a on sobie w najlepsze używał!

- Widziała pani tę jego miłość?

- Widziałam ich kiedyś razem, ale z daleka, ona nigdy tu nie przychodziła, natomiast często telefonowała. Nawet wczoraj dzwoniła do niego.

- Tak?... O której to było?

- Tuż przed końcem urzędowania. Słyszałam, jak mówił do niej „Lilusz” i umówił się z nią „tak jak zawsze”.

- A może słyszała pani jakieś inne ciekawe rozmowy telefoniczne? Nic? No, to wracajmy do sprawy kartoteki; przejrzałem ją dokładnie. W kilku przypadkach brak protokołów przyjęcia, mimo że prace zostały złożone w redakcji już dość dawno. Dlaczego?

Przejrzała dokładnie tytuły, o które mi chodziło, i wyjaśniła, że prace te są jeszcze w przeróbkach, ponieważ miały pewne niedociągnięcia. Coś w jej głosie obudziło moją czujność.

- Czy wszystkie bez wyjątku? Grażyna lekko się zmieszała.

- Tak. No... z wyjątkiem „Poradnika” dyrektora Małeckiego.

- A co się stało z tym „Poradnikiem”? Rozłożyła ręce bezradnym gestem.

- Nie wiem. Praca już była zaakceptowana do druku, ale do mnie nie wróciła; nie otrzymał jej

również żaden z redaktorów. Autor zgłaszał się do mnie po odbiór maszynopisu w celu dokonania ostatecznych poprawek, ale nie mogłam go znaleźć. Pytałam redaktora Zawidzkiego, jednak on tylko wzruszył ramionami. Może z jakichś powodów zabrał tę teczkę do domu, nieraz lak robił...

- Nie, w jego mieszkaniu nie znaleźliśmy nic takiego - zauważyłem.

- No, to już doprawdy nie wiem, gdzie tego szukać, a obawiam się, że dyrektor Małecki zgłosi się dziś ponownie.

- Pani Grażyno - poprosiłem - gdyby ten pan telefonował lub przyszedł, proszę go natychmiast skontaktować ze mną, nie wyjaśniając, o co chodzi. Ale, ale - co to właściwie za dyrektor?

- Były dyrektor jednego z departamentów w Ministerstwie Rolnictwa. Jest od miesiąca na emeryturze, bardzo miły i kulturalny pan.

W tym momencie do pokoju weszła młoda dziewczyna, niosąca na tacy dwie szklanki herbaty; postawiła je na konferencyjnym stoliku. To była chyba seksbomba wydawnictw. Wyobraź sobie - platynowe loki spadające w puklach na ramiona, szarozielone oczy ocienione sztywnymi od tuszu, długimi, podwiniętymi rzęsami, lekko zadarty nosek, który zdawał się węszyć dookoła, usta pomalowane perłową szminką, uśmiechające się zachęcająco w lalkowatej twarzy. Miała wysokie, proste nogi, na których poruszała się szybko i zręcznie kręcąc okrągłym kuperkiem. Ubrana była w spódniczkę midi koloru szarego i granatową bluzkę bez rękawów. Zapytała lekko schrypniętym głosem:

- A co z redaktorem Zawidzkim, nie przyjdzie dzisiaj?

- Nie - odpowiedziała szybko Grażyna, a mnie wpadło do głowy, że takie osóbkę, jak ta ślicznotka, bywają nieocenionym źródłem różnych informacji i ploteczek biurowych.

- Uśmiechnąłem się do dziewczyny i zagadnąłem:

- A może pani mogłaby nam tu pomóc?

- Ja, w jaki sposób? O co chodzi?

- Jestem z milicji. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy redaktora Zawidzkiego. Może obły się pani ostatnio o uszy jakieś pogłoski, niedomówienia... sprawa jest poważna, a dyskrecja zapewniona. Pani mi wygląda na bardzo spostrzegawczą osóbkę, taką, której koledzy na pewno chętnie się zwierzają - schlebiałem dziewczynie, udając, że nie widzę rozbawionej miny pani sekretarz.

Na wiadomość, iż redaktorem Zawidzkim interesuje się milicja, dziewczyna dostała wypieków z wrażenia. Widziałem wyraźnie, że ma ogromną ochotę włączyć się do „akcji”. Zastanawiała się przez chwilę, jakby szukając w pamięci. Chyba oceniłem ją sprawiedliwie jako osóbkę wścibską i lubiącą znajdować się w centrum zainteresowania. Wreszcie westchnęła z żalem.

- Niestety, proszę pana, nic takiego nie zwróciło mojej uwagi, chyba, żeby ten telefon z Wrocławia?...

Musiałem się mocno wysilić, aby mój głos brzmiał spokojnie, gdy zapytałem:

- Z Wrocławia? Może mi pani o tym opowiedzieć?

- Widzi pan, redaktor ma telefon tzw. sekretarsko-dyrektorski. Kiedy ktoś do niego dzwoni, sygnał odzywa się w sekretariacie i to właśnie ja go odbieram, a dopiero później łączę z gabinetem. W sobotę, kiedy redaktor był nieobecny, zadzwonił do niego jakiś gość z Wrocławia. Był bardzo zdenerwowany, kiedy dowiedział się, że redaktora nie zastał. Przez chwilę się zastanawiał, a następnie poprosił, abym zawiadomiła pana Zawidzkiego, że on zadzwoni w poniedziałek, tj. wczoraj rano, i bardzo mu zależy, aby redaktor czekał na jego telefon. Podał nazwisko, ale niewyraźnie, coś jakby Zamorski, nie usłyszałam, mówił, że wystarczy powiedzieć, że dzwonił profesor z Wrocławia, a redaktor już będzie wiedział, o co chodzi.

- No i spełniła pani jego prośbę?

- Zostawiłam kartkę z wiadomością na biurku w gabinecie.

- Ten profesor dzwonił wczoraj?

Chyba tak, ale w czasie, kiedy w naszym pokoju nikogo akurat nie było i redaktor sam przyjął telefon. Kiedy weszłam do gabinetu z pocztą, usłyszałam fragment rozmowy...

- Może pani powtórzyć, co mówił redaktor? Siedziałem jak na szpilkach.

- Spróbuję: co prawda cofnęłam się szybko, bo redaktor bardzo nie lubi, kiedy ktoś asystuje przy jego rozmowach telefonicznych, ale... przez lekko uchylone drzwi coś tam dosłyszałam... A więc redaktor tłumaczył tamtemu mniej więcej tak: „Bardzo mi przykro, panie profesorze, ale w tej chwili nie mogę nic na to poradzić. Należało mnie uprzedzić wcześniej. Niech pan zrozumie, ja nie chcę pana niszczyć, ale nie mam ochoty pomagać panu wbrew swoim przekonaniom. Nie należało mnie stawiać przed faktem dokonanym”. To chyba jakoś tak brzmiało. Potem przez pewien czas słuchał tamtego, a później powiedział: „No cóż, jeżeli tak bardzo panu na tym zależy, możemy jeszcze pogadać; co pan proponuje?” I jeszcze: „Dobra, a więc czekam”. I położył słuchawkę.

- Dziękuję pani bardzo - powiedziałem z całą powagą - kto wie, czy nie okaże się to niezwykle istotne. A może pamięta pani jeszcze coś takiego?

Dziewczyna najpierw odpowiedziała z żalem: „Nic, chyba już więcej nic”, ale nagle jakby coś sobie przypomniała i wykrzyknęła z przejęciem:

- Prawda! Może to panu się też przyda na coś? Otóż kilka dni temu słyszałam, jak nasz redaktor kłócił się z dyrektorem Małeckim. Nie wiem, o co im poszło, ale dyrektor wyleciał z gabinetu czerwony jak burak, nawet trzasnął drzwiami. Słyszałam, jak powiedział: „Nie ze mną takie numery!” Musiał być bardzo zdenerwowany, bo przecież to bardzo spokojny i kulturalny pan...

- A co na to redaktor?

- Nie wiem, przez dłuższy czas nie odważyłam się wejść do niego, ale jak wreszcie weszłam, to

był w całkiem dobrym humorze, nawet jakiś taki zadowolony z siebie... Teraz to już naprawdę wszystko! Czy mogę się już zmyć, panie poruczniku, mam jeszcze dużo pracy. - Nagle zaczęła się spieszyć.

- Oczywiście - powiedziałem ciepło - bardzo pani dziękuję i tylko proszę o zachowanie naszej rozmowy w absolutnej tajemnicy, zgoda?

- Może pan na mnie liczyć, panie władzo! - zasalutowała komicznie i tanecznym krokiem wybiegła z pokoju.

- Poleciała podzielić się nowinami z resztą kolegów; to straszny plociuch! - odezwała się ze złością milcząca dotąd Grażyna.

- Nie szkodzi - zbagatelizowałem sprawę - przecież nic konkretnego nie wie. A niech pani sobie przypomni, czy wśród waszych autorów lub też innych współpracowników nie figuruje ktoś z Wrocławia?

- Z całą pewnością nie - zabrzmiało to bardzo zdecydowanie. - Ale redaktor Zawidzki był członkiem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, i to chyba nawet członkiem zarządu, może ten profesor od nich? Oddziały są w całej Polsce.

- Bardzo prawdopodobne, dziękuję pani, ta informacja oszczędza mi wiele czasu. Czy należał jeszcze do innych organizacji?

- Chyba jeszcze tylko do związku zawodowego.

Podniosłem się z fotela.

- Dziękuję za pyszną herbatę; pani Grażyno, chciałbym teraz zatelefonować, a później zajrzeć do biurka redaktora.

Pani Grażyna zabrała tacę z pustymi szklankami i wyszła z pokoju. Zatelefonowałem do komendy, poprosiłem o samochód i podporucznika Sikorę do pomocy.

Zacząłem od środkowej szuflady biurka Zawidzkiego. Panował w niej idealny porządek: długopisy, linijki, flamastry, notatnik telefoniczny, kalendarz poukładane były w równiutkie rządki. Zainteresował mnie przede wszystkim kalendarz i notes. Odłożyłem je na bok. Lewa szafka z czterema tzw. „angielskimi” szufladami służyła właścicielowi za przechowalnię rzeczy osobistych oraz spiżarkę. W sumie nic atrakcyjnego. Prawa szafka przedzielona była półeczką na dwie wnęki: górną i dolną. W obu wnękach znajdowały się segregatory z aktami oraz teczki z maszynopisami. Wyjąłem je przejrzałem pobieżnie. Były to kopie maszynopisów, upstrzone tu i ówdzie uwagami i poprawkami. W niektórych powpinano całe strony pisane odręcznie.

- Czy zna pani to pismo? - spytałem Grażyny.

- To pismo redaktora. Wygląda na to, że sam osobiście te prace poprawiał, ale ja nie miałam o tym pojęcia. U mnie figuruje zupełnie ktoś inny, widać pracowali nad tym do spółki.

- A te tytuły trafiły do pani?
- Tak, część już wydrukowano, niektóre jeszcze są w druku.
- Ma pani kopie tych prac?
- Oczywiście i to nawet po dwa egzemplarze.

Zacząłem utykać, w szafie niepotrzebne mi segregatory, kiedy jednak chciałem zamknąć drzwiczki, stawily opór. Wyjąłem segregatory ponownie i sięgnąłem ręką do wnętrza. Wyciągnąłem dwie teczki, których nie widziałem przedtem. Były schowane za segregatorami. Jedna z teczek nosiła tytuł: „Obieg dokumentacji w Państwowych Gospodarstwach Rolnych” Instrukcja do użytku wewnętrznego. Opracowali: Jan Bielicki, Stefan Krupa i Stanisław Małecki. Warszawa, 1969 r.

W środku znajdował się skrypt wykonany na powielaczu i spięty metalowymi klamerkami.

W drugiej teźce - maszynopis z kartą tytułową: „Obieg dokumentacji w P.G.R.” Poradnik - opracował Stanisław Małecki, Warszawa, 1974 r.

Już z pobieżnego przejrzania obu prac wynikało, że są prawie identyczne. Zdziwienie pani sekretarz było szczere.

- O Boże, przecież to ten maszynopis, o który upominał się dyrektor Małecki! I leżał w szafce?
- Leżał, ale dobrze schowany; a co może mi pani powiedzieć na temat tej „instrukcji”?
- Nigdy jej nie widziałam, to jakiś stary skrypt.
- Zgadza się, ale proszę przejrzeć obie prace; są niemal identyczne. Może to plagiat?

- Teksty prawie identyczne... - powiedziała z namysłem Grażyna przerzucając maszynopis i skrypt - ale na obu figuruje nazwisko Stanisława Małeckiego, trudno więc to nazwać plagiatem, tyle, że na skrypcie są jeszcze inne nazwiska...

- A czy autor instrukcji sprzed pięciu lat ma prawo wydać ją obecnie drukiem?

- Ma, oczywiście, zwłaszcza, że po tylu latach musiał ją dostosować do wymogów obecnej chwili, a więc chociaż z pozoru prace wydają się identyczne, w drugą wersję włożono z pewnością dużo pracy. Tylko ta historia z nazwiskami... Wygląda na to, że Małecki wykorzystał wspólną pracę dla swoich własnych korzyści...

- Czy to pociąga za sobą jakieś konsekwencje?

- Oczywiście, ale tylko w przypadku, gdyby tamci wystąpili z pretensjami, a przecież nie wiemy, jakie tam były między nimi układy, może stało się to za ich wiedzą? Trudno mi wprost uwierzyć, aby pan Stanisław Małecki, do niedawna tak ceniony i ogólnie lubiany dyrektor, mógł zrobić jakieś świństwo. Obawiam się jednak, że właśnie ten skrypt był powodem, dla którego



redaktor Zawidzki nie chciał wydać Małeckiemu jego maszynopisu.

- Ale dlaczego tak skrzętnie to ukrywał? Może ze względu na dobro samego Małeckiego; aby mu ktoś właśnie plagiatu nie zarzucał - tłumaczyła Grażyna w zamyśleniu.

- Możliwe - powiedziałem powoli, - ale mogło i tak być, że Zawidzki chciał to „odkrycie” wykorzystać dla swoich prywatnych celów. Ta wersja wydaje mi się prawdopodobna, potwierdzałyby ją kłótnia redaktora z Małeckim, o której przed chwilą, słyszeliśmy.

- Tak, teraz sobie przypominam, że dzień czy dwa przedtem Małecki chciał się zobaczyć z redaktorem. Zawidzki był wtedy u naszego dyrektora; przedzwoniłam więc do sekretariatu i poprosiłam go do telefonu. Kiedy powiedziałam, że dyrektor Małecki czeka na niego w moim pokoju, jakby się zdenerwował i prosił, abym go jakoś spławiła, że niby narada długo potrwa itp. Ale Małecki uparł się i czekał tak długo, aż Zawidzki wrócił do siebie. Nie widziałam, kiedy Małecki wychodził, ponieważ musiałam wyjechać do drukarni.

- A mogłaby mi pani powiedzieć coś o tym Małeckim?

- No, cóż, niewiele tego będzie. Opinię w resorcie miał dobrą, zaczął jako skromny urzędnik w przedsiębiorstwie, awansował powoli, ale stale, wraźcie zakończył karierę w departamencie. Podobno był bardzo dobrym fachowcem i organizatorem, tępił zbędną biurokrację. To wszystko, co wiem o nim.

- A jak w ogóle układały się stosunki między nim a redaktorem?

- Tak na oko to dobrze, zwłaszcza w czasie, kiedy Małecki był jeszcze na świeczniku. Ale wyczuwałam, że on miał jakieś zastrzeżenia w stosunku do Zawidzkiego. Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć: jakieś takie wzruszenie ramion, skrzywienie ust, komentowanie jego powiedzeń - to rzeczy dosyć nieuchwytnie, ale jestem na to bardzo wyczulona. Zawidzki odnosił się do niego z „całym szacunkiem”, oczywiście do momentu przejścia tamtego na emeryturę. Od tego czasu zaczął go traktować nieco z góry, biedak nie zdawał sobie sprawy, że poniekąd emeryci mogą wiele zdziałać na terenie byłego miejsca pracy, gdzie kołacze się jeszcze ich duch, prawda?

- Chyba tak - potwierdziłem mechanicznie. - A ile wynosiło uposażenie redaktora Zawidzkiego?

- Około sześciu tysięcy złotych plus premia kwartalna, jakieś nagrody, honoraria autorskie.

- Nie orientuje się pani, czy należał do rozrzutnych?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Był zawsze świetnie ubrany, słyszałam, że się go czasami widuje w drogich lokalach, ma samochód, ale jeżeli wziąć pod uwagę, że jego żona jest malarką i o ile wiem też sporo zarabia, to tego trybu życia nie można nazwać rozrzutnym, prawda? Zwłaszcza, że nie mają dzieci.

- Słusznie. A nie wie pani, dawno kupił samochód?

- Nie tak dawno, jakieś pół roku temu.

- Serdecznie za wszystko pani dziękuję - powiedziałem ciepło. - Za chwilę przyjedzie tu porucznik Sikora, który przejrzy resztę akt i przesłucha pracowników. Zabierze za pokwitowaniem te maszynopisy i część kartotek. Niech się pani nie martwi, następnego dnia zwrócimy je pani. Ja muszę ruszać w miasto. Jeszcze raz dziękuję za herbatę i do widzenia.

W tym momencie zapukano do drzwi i stanął w nich Sikora. Przedstawiłem go Grażynie, która dyskretnie ulotniła się z pokoju. W kilku słowach streściłem Sikorze zebrane dotychczas informacje i ustaliłem z nim dalszy ciąg dochodzenia. Następnie szybko zbiegłem do wozu, którym przyjechał i po kilkunastu minutach byłem już na Nowym Świecie w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym.

W sekretariacie urzędowała miła, starsza pani, która poinformowała mnie, że istotnie redaktor Zawidzki jest członkiem zarządu i PTE i do niego należy - między innymi - opiniowanie celowości wyjazdów zagranicznych członków PTE. Udostępniła mi również listę członków wojewódzkich oddziałów PTE. No i wyobraź sobie, że na liście wrocławskiej wyłowilem nazwisko Ireneusza Zamorskiego, profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Wrocławskiego.

- No, ale skąd masz pewność, że to o tego faceta właśnie chodzi? - zaciekał się Roszczyk.

- To się okaże we właściwym czasie - odpowiedział tajemniczo Kowalski. - Słuchaj uważnie, bo teraz wszystko w moim opowiadaniu będzie się działo bardzo szybko.

Starsza pani uraczyła mnie zaskakującą wiadomością. Oto profesor Zamorski ubiegał się o wyjazd do RFN na jakieś sympozjum, wniosek musiał być jednak poparty przez Zawidzkiego. Termin złożenia papierów upływał w dniu dzisiejszym. Trzy dni temu profesor Zamorski zawiadomił PTE, że przywiezie je osobiście lecz jak dotąd - nie zgłosił się. Telefonowano dziś do niego, do Wrocławia; okazało się, że wyjechał dwa dni temu do Warszawy swoim zielonym fiatem. Nie wiedza, zatem, co się stało.

Wypożyczyłem jedno ze zdjęć doczepionych do podania profesora. Domyślasz się, chyba, że wprost stamtąd machnąłem się na Topolową, aby pokazać zdjęcie pani „gospodarz domu”. Oczywiście - rozpoznała na fotografii tego starszego pana, który podjechał wczoraj zielonym fiatem i pytał o redaktora Zawidzkiego.

- Widzę, Alek, że odwaliłeś dziś kawał roboty! Z tym Zamorskim to może być ciekawy trop... Jeśli gość nie ma rodziny w Warszawie, musiał się zatrzymać w którymś z hoteli. Może wcześniej rezerwował pokój?

- Nie doceniasz podwładnych, szefie! Hotele przyszły mi na myśl od razu. Zacząłem sprawdzać. Już za drugim telefonem trafiłem, Zamorski zarezerwował przed tygodniem pokój w „Metropolu”. W dniu wczorajszym zgłosił się rano, nie mógł jednak zająć pokoju, ponieważ doba hotelowa zaczyna się dopiero o czternastej. Zostawił więc walizkę, zjadł śniadanie w restauracji na dole i wyjechał na miasto. Od tej chwili słuch po nim zaginął. Pokój jest już dziś zajęty przez innego gościa, a walizkę odebrałem za pokwitowaniem. Nie znalazłem w niej nic ciekawego: trochę osobistych rzeczy, koniecznych w podróży. Rzecz jasna, że natychmiast zarządziłem poszukiwania profesora oraz jego zielonego fiata. Jak dotychczas - kamień w wodę.

Ale nie myśl, że tak się zapędziłem tamtym tropem, że zapomniałem o innych. Skontaktowałem się z Małeckim i umówiłem się z nim u niego w domu, dzisiaj po siedemnastej. Nie wydawał mi się zaniepokojony moim telefonem, raczej był zdziwiony. O śmierci Zawidzkiego nic jeszcze nie wiedział...

Kowalski skończył swoją epopeję i czekał na pochwałę ze strony kapitana. Roszczyk spojrział na przyjaciela z przekornym uśmiechem.

- Brawo, Alek! Odstawiłeś ten monodram nie gorzej od Filipskiego czy Łapickiego. Powinieneś zmienić zawód, chłopie! Ale żarty na bok, muszę przyznać, że nie zasypiałeś gruszek w popiele. Z operatywności - piątka. A wracając do sprawy: spróbuję skontaktować się z Krzyckim, może on będzie wiedział coś na temat profesora?

Nakręcił numer Krzyckich; redaktor zgłosił się osobiście. Poznawszy kapitana, grzecznie zapytał, w czym może pomóc.

- Czy mówi panu coś nazwisko Zamorski, profesor Zamorski?

- Chyba nie - odparł niepewnie Krzycki - ale głowy za to nie dam. - Chwilę milczał, wreszcie powiedział: - Zaraz, zaraz, coś mi się wydaje, jakbym już kiedyś słyszał to nazwisko, ale gdzie i kiedy? Nie kojarzę... Może pan kapitan powie mi coś więcej o tym człowieku?

- To profesor z Wrocławia, znajomy Zawidzkiego.

- Ach tak, teraz sobie przypominam. Janusz wspominał mi, że przyjeżdża do niego w tych dniach, ale po co, nie mam pojęcia.

- A kiedy rozmawiał pan o tym z Zawidzkim?

- Chyba nawet wczoraj... przez telefon... Janusz był trochę zdenerwowany, miał jechać po Krysie, a tu Zamorski zawiadomił go o swoim nagłym przyjeździe.

- Nie wie pan przypadkiem, profesor w końcu zgłosił się do Zawidzkiego?

- Nie mam pojęcia. Ależ, panie kapitanie, czyżby pan przypuszczał, że to on? Przecież ja nie mam żadnej pewności, czy w ogóle przyjechał, nie znam spraw, które ich łączyły i naprawdę nie chciałbym pakować niewinnego człowieka w taką kabałę!

- Rozumiem pana. A czy to nazwisko nie obito się panu o uszy w latach waszej kariery wrocławskiej albo może później?

- Nie, pewnością nie! - zdecydowanie zaprzeczył Krzycki.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc. - Roszczyk odłożył słuchawkę. - Słyszałeś? - zwrócił się do przyjaciela.

- Tak, słyszałem, ale to tylko potwierdza nasze dotychczasowe dane. Musimy za wszelką cenę

znaleźć tego Zamorskiego. Ze słów tamtej małej wynikałoby, że Zawidzki nie chciał mu podpisać podania; ale dlaczego? I po co umawiał się z nim u siebie w domu? To mi coś niezbyt ładnie pachnie, podobnie jak sprawa z Małeckim. Czyżby pan redaktor trudnił się szantażem?

- Na to wygląda. Ale w tej chwili intryguje mnie coś zupełnie innego. - Tu Roszczyk streścił przyjacielowi zebrane informacje oraz dał mu do przejrzenia ekspertyzy daktyloskopijnej. - Gnębi mnie jedna sprawa - zauważył, gdy porucznik zaznajomił się już z tokiem działań kapitana. - Jestem pewien, że Krzycka nie powiedziała wszystkiego. Wiemy, że Zawidzka była w mieszkaniu tuż po morderstwie i zostawiła ślady na rewolwerze; dlaczego więc nie ma jej śladów na klamce drzwi wyjściowych? Wygląda na to, że w chwili, gdy ona tam wpadła, morderca znajdował się jeszcze w mieszkaniu i uciekł zaraz po niej, wytarłszy uprzednio ślady. Trudno będzie jednak rozgryźć te sprawy bez przesłuchania Zawidzkiej. Jedno jest jasne: Krzycka musiała widzieć kogoś na schodach i z jakichś sobie tylko wiadomych powodów nie chce tego ujawnić.

- A skąd pewność, że to nie ona zabiła?

- Trzeba i to brać pod uwagę. Miała dosyć czasu i możliwości, a także motyw: zazdrość. Z drugiej jednak strony nie mogła tam być jednocześnie z Zawidzką, bo gdzież czas na powrót do mieszkania, wyłączenie telewizora, zgaszenie światła i powycieranie śladów? Wypadła przecież na ulicę prawie równocześnie z Krystyną. A zresztą, nie ma co umierać przed śmiercią, jak to mówią. Jutro przycisnę Krzycką do muru. Poślij jej wezwanie do komendy, może tu zrozumie wreszcie, że to nie przelewki.

- Słusznie - powiedział Kowalski - ale weźmy na warsztat jeszcze taki wariant. Zabija Krzycka i biegnie do krawcowej. Wpada Zawidzka i - w szoku - ucieka. Może zostawiła drzwi otwarte? Przychodzi ktoś trzeci: Zamorski, Małecki, czy ja wiem zresztą, ilu jest jeszcze takich, co to mają pretensje do Zawidzkiego? Widzi, co się stało, i w obawie, by nie zostać wplątany w morderstwo, ucieka wycierając ślady na drzwiach.

- Mogło i tak być, ale wtedy znów wracamy do sprawy telewizora i zgaszonego światła. Nie zapominaj, że między ucieczką Zawidzkiej a wejściem profesora Wielowieyskiego upłynęło bardzo niedużo czasu, a tamten gość mógłby wejść lub wjechać na górę dopiero wówczas, gdy Zawidzka znajdowała się już poza domem. Na pewno nie traciłby czasu na wyłączenie telewizora i gaszenie światła. Wiałby z mety, gdzie pieprz rośnie! W ten sposób wracamy znów do Zawidzkiej. To jest luka, którą trzeba jak najprędzej wypełnić. Nie wiemy, o której dokładnie tam przyjechała, czy zastała drzwi zamknięte, czy otwarte, jak długo tam była, czy zbliżała się do męża, aby sprawdzić, czy żyje? Czy telewizor był już wyłączony? Ile czasu upłynęło od jej wejścia do wyjścia? Czy zamknęła za sobą drzwi? A może widziała kogoś w pokoju lub na schodach? Bez odpowiedzi na te pytania nie ruszymy z miejsca.

- I co teraz? - zapytał Kowalski spoglądając na zegarek. - Wrocław się nie odzywa. Wybiła godzina szesnasta. O tej porze normalni ludzie wędrują do domów na dobrze zasłużony wypoczynek...

- Właśnie - podchwycił Roszczyk - a nieszczęsny porucznik Kowalski powędruje na randkę z pewnym emerytowanym dyrektorem; żeby zaś mu nie było żal - drugi nieszczęsny oficer MO również

powędruje na randkę, tyle że... z kobietą, bo chyba przesłucham ponownie piękną Lilianę. Jej mąż pójdzie pewnie do pracy, więc może zastanę ją samą. - Nagły dźwięk dzwonka telefonicznego przerwał tę przemowę. - Kapitan Roszczyk, słucham, kto mówi? Ach, to -pan, profesorze, słucham!

Dał znak porucznikowi, aby wziął zapasową słuchawkę.

- Panie kapitanie, mógłby pan przyjechać jeszcze dziś do naszego zakładu? Pani Zawidzka chce koniecznie złożyć jakieś bardzo ważne zeznanie. Nie wiem, jakie, nie chciałem jej wypytywać, ale widzę, że nie uspokoi się, dopóki pan nie przyjedzie!

- Dziękuję, panie profesorze. Zaraz wyjeżdżam; jadę swoim prywatnym wozem, więc nie będzie sensacji. Myślę, że dotrę do was za niecałe czterdzieści minut. Roszczyk odłożył słuchawkę. - No i masz tu przysłowiowe „deus ex machina”; słyszałeś wszystko?

Kowalski skinął głową.

- Może wreszcie ruszymy z miejsca?

- Mam nadzieję. Posadź tu Borka, niech odbiera telefony, podwiozę cię do Małeckiego.

Byli już na korytarzu, kiedy odwołał ich właśnie sierżant Borek. Otrzymał telefon od dozorczyńni domu przy Topolowej; spłoszyła jakiegoś mężczyznę, który usiłował dostać się do mieszkania Zawidzkich. Podany rysopis nie na wiele się przydał. Gość wysoki, barczysty, ubrany w bardzo zniszczony płaszcz ortalionowy nieokreślonej barwy. Twarz miał obandażowaną i czapkę wciśniętą na oczy.

Jedynie, co może się przydać, to wzrost i tusza - pomyślał kapitan - ale to nie wystarczy do zdemaskowania intruza. Co jednak istotne, to fakt, że ktoś w dalszym ciągu szuka czegoś w mieszkaniu redaktora.

- Strzeliłem grubo błąd, - złościł się Roszczyk sam na siebie - że zostawiłem to mieszkanie bez opieki!

Polecił natychmiast wysłać funkcjonariuszy, aby dyskretnie obserwowali mieszkanie Zawidzkich.

Kiedy Roszczyk zajechał do Klimowa, było już po siedemnastej. Wielowieyskiego zastał w gabinecie na pierwszym piętrze. Usiadł przy małym stoliku konferencyjnym, czekając, aż dyżurna pielęgniarka przyniesie ekspres z kawą. Chcieli chwilę porozmawiać, zanim rozpocznie się oficjalne przesłuchanie.

- Jak się czuje obecnie pacjentka? - zapytał Roszczyk. - Czy może zeznawać bez szkody dla zdrowia?

- Myślę, że zrzućcie takiego psychicznego ciężaru właśnie wyjdzie jej na zdrowie. To młoda kobieta, ma co prawda zszarpane nerwy, ale poza tym nic jej nie dolega. Sądzę, że szybko się pozbiera.

- Panie profesorze, czy nie mógłby mi pan powiedzieć czegoś na temat ich małżeństwa i przyczyn jej choroby? Jestem prawie pewien, że pan wie na ten temat więcej niż wszyscy pozostali. I proszę się nie zastawiać tajemnicą lekarską, przecież tu chodzi o wykrycie mordercy. Przynajmniej panu, że to zostanie między nami.

- No, cóż... Szczególna sytuacja. Rozumiem i nie bronię się przed ujawnieniem przyczyn choroby; postaram się też nie narazić pana na wysłuchiwanie wykładu - uśmiechnął się profesor.

- Jeżeli czegoś nie zrozumie, zapytam.

- Świetnie. A więc zacznę od pierwszej i może jednej z najbardziej istotnych przyczyn rozdzwisku i rozgoryczenia - od sprawy dziecka. Pani Krystyna od dawna marzy o dziecku, to zresztą jej święte prawo, ma na to warunki i zdrowotne, i materialne, i mieszkaniowe. Zawidzki bronił się przed tym i zranił ją głęboko oświadczeniem, że nie chce „mieć kłopotów z bachorami”. Wyśmiewał się z żony, że pozuje na niemiecką matronę, trzymającą się ściśle programu trzech „K” - *Kirche, Kinder und Küche*, tj, kościół, dzieci i kuchnia.

- A jak w ogóle doszło do tego małżeństwa?

- Och, to taka typowa historia. Był dużo starszy, miał bogate doświadczenia życiowe, potrafił wzbudzić miłość młodej, i pewnie trochę egzaltowanej dziewczyny. Trzeba pamiętać, że ona jest artystką i jako taka reaguje znacznie mocniej niż inne dziewczęta, a Zawidzki umiał pozować na romantycznego kochanka. Po pewnym czasie pani Krystynie otworzyły się oczy. Zorientowała się, że wyszła za sybarytę o wybujałej ambicji własnej, a przy tym także cynika. Myślę, że nawet własnej żonie zazdrościł sukcesów na polu artystycznym. Jego cynizm zaczął ją przerażać, a kiedy zastała go przypadkiem we własnym mieszkaniu w niedwuznaczonej sytuacji z którąś ze swoich znajomych - załamała się zupełnie.

Już dawniej próbowała grozić rozwodem, ale ustępowała, gdy Zawidzki obiecywał poprawę, okazywał skruchę i stawał się na jakiś czas czułym i troskliwym mężem. Teraz jednak doszła do wniosku, że sytuacja przerasta jej możliwości psychiczne, czuła się upokorzona, a przy tym niezdolna do jakiegokolwiek energicznej reakcji. Ponadto zdawało jej się, że jest już trochę za stara, aby zaczynać wszystko od nowa. Bała się ludzi i bała się pustki. Postanowiła skończyć ze sobą. Na szczęście siostra jej, pani Urbańska, w porę zorientowała się w sytuacji. Pod pretekstem odwiedzenia wspólnej znajomej przywiozła ją tutaj, a ja dokonałem reszty. Pani Krystyna postanowiła wyleczyć nerwy i zacząć nowe życie od podstaw. Lecz oto stało się coś nieprzewidzianego. Mąż zmienił się zupełnie. Nie wiem, co nim powodowało, ale obiecał jej wszystko, co tylko zechce, zaczynając od dzieci. Przynajmniej zmienił zasadniczo swój tryb życia. Na początek zaproponował nowy miodowy miesiąc - we Włoszech.

A niezależnie od tego już dwa razy odkładał termin zabrania żony sądu. Napędzało mnie to nieufnością i - do pewnego stopnia - irytacją. Jeszcze na dodatek to wczorajsze opóźnienie, które w konsekwencji kosztowało go życie. Gdyby był wyjechał po żonę o czasie, może żyłby do tej chwili? - Profesor zamilkł na moment, potarł czoło i mówił dalej. - Wie pan, kapitanie, wydaje mi się, że mimo wszystko moja pacjentka szybko się otrząśnie z tego ciosu. Węzeł został ostatecznie przecięty, a ona jest młoda, zdolna, inteligentna, dobra... na pewno trafi na kogoś, kto obdarzy ją prawdziwą

miłością i stworzy jej takie życie, jakie powinno być udziałem młodości. - Wprawne ucho kapitana wychwyciło nutki wzruszenia w głosie profesora.

Ale wzięło starszego pana... - pomyślał, głośno zaś powiedział:

- A zatem, profesorze, nie wierzył pan w dobre intencje Zawidzkiego?

- Źle postawione pytanie. W intencje wierzyłem, bo widziałem wyraźnie, jak bardzo zależało mu na wyzdrowieniu żony, miałem jednak wrażenie, że za tym coś się kryje, że ma on jakieś konkretne powody, aby tak postępować, tym bardziej że zmiana nie nastąpiła od razu, dopiero jakiś miesiąc temu. Rozumie mnie pan?

- Chyba tak. Wyglądałoby na to, że miesiąc temu zaszło coś, co spowodowało u Zawidzkiego konieczność pogodzenia się z żoną...

- O, właśnie, świetnie pan to ujął, ale co to może być? Jakiś spadek w rodzinie żony?

- Niewykluczone, lecz w takim razie pani Urbańska musiałaby coś o tym wiedzieć? Warto ją o to zapytać. Ale o tym potem. Czy można już poprosić panią Zawidzką?

Profesor wyszedł z pokoju, aby za chwilę wrócić w towarzystwie młodej kobiety. Była dość wysoka i bardzo szczupła. Ciemne, gładko uczesane włosy spadały jej na ramiona. Popielaty sweterek i czarna spódniczka dyskretnie podkreślały piękne proporcje gibkiego ciała. To wszystko rzuciło się w oczy Roszczykowi, zanim jeszcze spojrzał jej w twarz; bo wtedy poczuł skurcz w gardle.

To chyba najpiękniejsza, a zarazem najsmutniejsza twarz, jaką widziałem w życiu - pomyślał.

Ciemne oczy patrzyły na niego uważnie, jakby usiłując przekonać się, czy ma przed sobą przyjaciela, czy wroga. Usiadła na wskazanym przez profesora foteliku i spokojnie czekała.

- Pani Krystyno - zagaił Wielowieyski - przedstawiam pani mego przyjaciela, kapitana Roszczyka, chciała pani z nim rozmawiać, prowadzi to nieszczęsne śledztwo...

Zawidzka uśmiechnęła się dziwnie.

- Widziałam pana wczoraj, kiedy odbierał pan klucze od profesora - szepnęła bezbarwnym głosem.

- A ja nie mogłem pani zobaczyć, bo profesor skrzętnie panią przede mną zasłonił - usiłował żartować kapitan, aby rozładować trochę atmosferę, młoda kobieta pozostała jednak sztywna i napięta.

- Czy moglibyśmy zacząć? - zapytała profesora. - Chciałabym mieć to już za sobą.

Skinął głową, a wówczas Zawidzka zwróciła się do kapitana.

- To oficjalne i formalne przesłuchanie, prawda? Będzie pan protokołował czy nagra pan moje zeznanie na magnetofon?

- A co pani woli? - kapitan był zupełnie zbity z tropu.

- Raczej magnetofon, nie rozprasza myśli.

- Bardzo proszę, jest magnetofon. Opowie nam pani sama, co zdarzyło się wczoraj w mieszkaniu państwa, czy też lżej będzie, jeśli ja zacznę zadawać pytania?

- Czy ja wiem, przede wszystkim chciałabym złożyć oświadczenie.

- Słucham panią. Zawidzka jakby się zbierała w sobie, jakby szukała w myśli odpowiednich słów. Spojrzała przepaszająco na profesora, wreszcie odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała martwym głosem:

- To ja zastrzeliłam mego męża, Janusza Zawidzkiego, w dniu wczorajszym, w naszym mieszkaniu przy ulicy Topolowej.

Gdyby bomba wylądowała na podłodze gabinetu, nie wywołałaby większego wrażenia. Kapitan siedział jak osłupiały, nie zdając sobie nawet sprawy, że automatycznie wyłączył magnetofon.

Profesor poderwał się z krzesła.

- Pani Krystyno, co też pani... Nie pora na takie makabryczne występy...

Zawidzka chwilę trwała nieporuszona.

- Niestety, to najprawdziwsza prawda. - Spuściła głowę. - Ale ja go nie chciałam zabijać. Nie chciałam, wiercie mi - patrzyła w oczy to kapitanowi, to profesorowi.

Wreszcie Roszczyk oprzytomniał.

- Proszę nam opowiedzieć wszystko po kolei.

- Dobrze - szepnęła Zawidzka.

Dłuższy czas siedziała w milczeniu, zaciskając dłonie, wreszcie oparła je na stoliku, by nie drżały i zaczęła:

- A więc... czekałam w hallu na przyjazd męża. Miał być o siedemnastej. Czekałam i czekałam, słyszałam, jak pan profesor chodzi tam i z powrotem po gabinecie. On się denerwował i ja... Postanowiłam nie przeciągać tego dłużej i jechać sama do domu. Na górze zadzwonił telefon, pan profesor zaczął z kimś rozmawiać, ale nie słyszałam słów. Wybiegłam z gmachu, dotarłam do bramy w momencie, gdy wjeżdżała furgonetka dostawcza. Nic zauważona przez wartownika wymknęłam się na zewnątrz i ruszyłam w stronę dworca. Przy jednym z mijanych domków stał granatowy fiat. Jakiś młody człowiek zapuszczał motor. Poprosiłam, zabrał mnie ze sobą do Warszawy i podwiózł aż pod



bramę naszego domu. - Nagły, niespodziewany uśmiech rozjaśnił na chwilę piękną twarz smutnej madonny. - Ten pan był bardzo grzeczny, miły i dowcipny, nawet nie zauważyłam, kiedy dojechaliśmy na miejsca. Wsiadł za mną z samochodu i chciał mi ponieść walizkę, ale nie pozwoliłam. Miał chyba ochotę umówić się, ale nie odważył się zaproponować mi tego. O Boże, jak to było strasznie dawno... - Chwilę milczała, a kapitan nie próbował przerywać tego milczenia, choć nie patrzył na profesora, który za plecami pacjentki położył palec na ustach.

Wreszcie zaczęła mówić dalej.

- Winda była na górze, nie mogłam jej ściągnąć, widocznie ktoś jej nie zamknął, poszłam więc pieszo. Już pod drzwiami usłyszałam ryk telewizora. Zdziwiona, otworzyłam mieszkanie - było zamknięte tylko na zatrask. W przedpokoju ciemno, w pokoju story zasunięte; paliła się tylko lampa na biurku, dawała jednak niewiele światła. Poczułam mocny zapach perfum i kątem oka zauważyłam, że kotara poruszyła się tak, jakby ktoś tam się ukrył. Janusz siedział przy telewizorze, ale nie patrzył na ekran; zwrócony był twarzą do wejścia, widocznie odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi. Ale nie wstał, siedział na tym okropnym fotelisku i wlepił we mnie oczy. Mówiłam coś do niego - nie słyszał, telewizor wszystko zagłuszał. Krzyknęłam: „Zamknij wreszcie to diabelstwo!”, ale on dalej nie reagował. Miałam ochotę rzucić w niego czymś ciężkim, pewnie się rozejrzałam i wtedy spostrzegłam rewolwer, leżący na barku, tuż koło drzwi. Złapałam go i wydało mi się, że Janusz się śmieje.

Wtedy... wtedy ogarnęło mnie szaleństwo. Nacisnęłam spust i nie zdjęłam palca, aż wywaliłam wszystkie pociski. Słyszałam, jak grzechotały po ścianie, nie wiem, ile kul. trafiło, ale on nawet nie jęknął, tylko tak mu jakoś ramiona opadły z poręczy fotela.

Wtedy straciłam zupełnie głowę, rzuciłam rewolwer na ziemię, i pędem wybiegłam z mieszkania, zatraskując drzwi za sobą. Walizkę cały czas ściskałam w ręce. Nie myślałam o niczym. Biegłam tak przed siebie, aż wpadłam na pana, profesorze. Wtedy nagle pomyślałam, że może pan go uratuje, ale niestety! Proszę mnie zrozumieć, ja nie strzelałam, żeby zabić, ja chciałam tylko wytrącić go z równowagi, z tego jego olimpijskiego spokoju. Jestem pewna, że on miał u siebie jakąś kobietę i nie wiedział, jak z tego wybrnąć. A teraz nie żyje... - Nagle rozszlochała się, zasłaniając twarz rękami jak małe dziecko.

Profesor wstał i podszedł do podręcznej apteczki. Szybka nasączył kilka kropel płynu do szklaneczki i podał Zawidzkiej. Wypiła posłusznie i za chwilę uspokoiła się trochę.

- No, pani Krysiu, najgorsze już minęło: czy może pani odpowiedzieć kapitanowi na kilka pytań?

Skinęła głową.

- Proszę pomyśleć - mówił bardzo spokojnie Roszczyk - i odpowiedzieć mi dokładnie: czy zbliżyła się pani do miejsca, w którym znajdował się pani mąż?

- Ależ skąd, zamurowało mnie dosłownie przy tych drzwiach, nie byłam w stanie zrobić ani kroku.

- No, to w jaki sposób zamknęła pani telewizor?

- Wcale go nie zamykałam. Te szatańskie odgłosy goniły mnie jeszcze na klatce schodowej.

- Jakich przedmiotów dotykała pani w mieszkaniu?

- Żadnych... oczywiście poza rewolwerem i drzwiami...

Profesor spojrzał pytająco na kapitana, ten skinął głową.

- Istotnie... Na rewolwerze były odciski palców pani Zawidzkiej.

Profesor westchnął i rozłożył ręce. Roszczyk pytał dalej.

- W jakim stanie znajdowało się biurko?

- Nie wiem, nie patrzyłam w tamtym kierunku, ale zdaje mi się, że koło lampy leżały jakieś papiery.

- Środkowa szuflada była zasunięta?

- Tego nie mogłam widzieć, szuflada znajduje się z przeciwnej strony biurka.

- Racja, zapomniałem. Proszę pani; proszę się skupić i odpowiedzieć jak najdokładniej, ile czasu mogło upłynąć od chwili: pani, wejścia do wybiegnięcia z mieszkania, a nawet do chwili spotkania profesora?

- Nie mam pojęcia, nie patrzyłam przecież na zegarek! Na pewno to trwało bardzo krótko. W mieszkaniu byłam kilkanaście sekund, może minutę, później trzasnęłam drzwiami i biegłam po schodach oraz te kilkadziesiąt metrów po ulicy. W sumie nie dłużej niż cztery - pięć minut, tak mi się przynajmniej wydaje...

- I ostatnie pytanie: nie wpadło pani do głowy, aby podejść do męża i zobaczyć, czy przypadkiem nie jest chory, że tak siedzi w bezruchu?

Oczy Zawidzkiej rozszerzyły się ze zdumienia, a może strachu:

- Rzeczywiście! Teraz zdaje sobie sprawę, że powinnam była tak postąpić, ale niech mnie pan zrozumie; to przyciemnione światło, to falowanie kotary, te perfumy, których, on u mnie nie znosił - to wszystko świętego wyprowadziłoby z równowagi! W takiej sytuacji trudno myśleć logicznie. Zwłaszcza, że przecież o tej porze powinien być w Klimowie, u mnie, a on tymczasem siedział tu sobie najspokojniej z jakąś... - nie dokończyła.

- Czy ten zapach skojarzył się pani z kimś znajomym?

Spojrzała uważnie na kapitana, ale jego twarz nie wyrażała niczego szczególnego.

- Nie, skądże... - powiedziała Zawidzka wolno - ale przecież mężczyźni nie używają perfum?

- No, tak. Słusznie, proszę pani.

- I co teraz? - spytała cicho. - Zabierze mnie pan?

- Na razie nie widzę potrzeby, przyznała się pani do winy dobrowolnie, a pan profesor na pewno nie odmówi pani gościny do czasu zakończenia śledztwa. Sądzę, że prokurator również nie wyrazi sprzeciwu. Teraz musi pani odpocząć, a my zastanowimy się, jak pani pomóc.

- Jak można mi pomóc, jego przecież nikt mi już nie przywróci...

Profesor wyprowadził ją delikatnie z pokoju. Gdy wrócił, przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Kapitan z wybitnym zainteresowaniem oglądał paznokcie, wreszcie podniósł oczy na Wielowieyskiego.

- Myśli pan, że to prawda?

- To ja powinienem pana o to zapytać.

- Nie zrozumiał mnie pan. Jej zeznanie jest precyzyjne i jednoznaczne, a szereg szczegółów pokrywa się z wynikami śledztwa, ale w mojej karierze natknąłem się już na przypadki, że osoba przesłuchiwana - pod wpływem jakiegoś szoku czy czegoś w tym rodzaju - przyznawała się w najlepszej wierze do win nie popełnionych, co w konsekwencji sprowadzało śledztwo na fałszywy tor.

- Rozumiem, panie kapitanie, ale tutaj ten przypadek raczej nie wchodzi w grę. Obawiam się, że to rzeczywiście ona strzelała, ale właśnie tak, jak mówi: nie z zamiarem zabicia.

- Wiele rzeczy mi tu nie pasuje...

- I co, będzie pan dalej prowadził to śledztwo? - zapytał zdumiony profesor.

- Tak. Sprawa musi zostać całkowicie wyjaśniona. Sam pan widział rozgrzebane papiery na biurku, wyłamaną szufladę. Zawidzka była pewna, że ktoś ukrywał się za kotarą i tak chyba było, bo kto zgasił telewizor oraz światło, kto powycierał ślady na drzwiach?

- Myśli pan, że tam była kobieta?

- Albo też ktoś usiłował stworzyć takie pozory i ja muszę wiedzieć, czego tam szukał, rozumie pan?

- Oczywiście, ale czy to coś zmieni w sytuacji mojej pacjentki? Szczerze mi jej żal...

- Raczej tak; myślę o okolicznościach łagodzących, a w ogóle... nigdy nic nie wiadomo. Czasami zdarzają się cuda - Roszczyk powiedział to jakoś dziwnie, bo nagle zaczęła go prześladować pewna uporczywa myśl. - No cóż, pożyjemy, zobaczymy - poderwał się z fotela. -

Muszę już pana pożegnać, ale w najbliższych dniach się odezwę.

- Czy pani Zawidzkiej wolno przyjmować wizyty?

- W zasadzie tak, ale tylko za moją wiedzą. Jeśli pan profesor uważa to za wskazane, proszę porozumieć się z jej siostrą.

Uścisnęli sobie mocno dłonie i kapitan zbiegłszy szybko po schodach, wsiadł do samochodu.

Za chwilę, pełen sprzecznych myśli, ruszył w kierunku Warszawy. Miał już pewną hipotezę, musiał jednak sprawdzić jeszcze szereg elementów. Postanowił wpaść do komendy, aby sprawdzić, czy nie nadeszły ekspertyzy balistyczne.

Istotnie na biurku znalazł szara kopertę wypełniona protokołami i wykresami. Zaczął szybko wertować zapiski, szukając w nich potwierdzenia swojej hipotezy. Według oświadczenia rzeczoznawców Zawidzki zginął od kuli wystrzelonej z bezpośredniej bliskości przez osobnika znajdującego się w pozycji stojącej. Przypuszczalny wzrost mordercy określono na około 180-185 cm. Pozostałe kule zostały wystrzelone z odległości około 8 m - prawdopodobnie od drzwi przez osobę wzrostu około 160-165 cm. Wszystkie kule pochodziły z rewolweru Zawidzkiego.

Roszczyk schwycił ponownie protokół sekcji zwłok. Czas zgonu ustalony był w granicach: osiemnasta trzydzieści - dziewiętnasta. Profesor Wielowieyski, telefonując do komendy o godzinie dziewiętnastej stwierdził, że Zawidzki nie żyje już od najmniej trzydziestu minut; wynikałoby z tego, że śmiertelna kula została wystrzelona około osiemnastej trzydzieści, to jest o piętnaście minut wcześniej, zanim Zawidzka rozpoczęła swoją wędrówkę na trzecie piętro. A więc Zawidzka nie mogła zabić męża. Wystrzeliła co prawda, pozostałe pięć kul, praktycznie jednak żadna z nich nie uśmierciłaby redaktora. A więc w czasie tej kanonady Zawidzki już nie żył, a morderca ukrywał się za kotarą, usiłując wywołać wrażenie, że ukrywa się tam kobieta, konkretnie - Krzycka. Na to przecież wskazuje pozostawiony na dywaniku pierścionek oraz rozlane perfumy. A więc musiał to być ktoś, kto znał zarówno Zawidzkich jak i Krzyckich, a ponadto orientował się w stosunkach łączących redaktora z piękną Lilianą.

I dlatego Krzycka musi przypomnieć sobie, gdzie i kiedy nosiła pierścionek po raz ostatni - leży to przecież w jej własnym interesie. Roszczyk postanowił od samego rana wziąć się ostro za piękną panią i wydobyć z niej wszystko, czego nie powiedziała za pierwszym razem.

Obok kopert z ekspertyzami spostrzegł kartkę pozostawioną przez sierżanta Borka. Sierżant pisał, że komenda wrocławska podała następujące dane dotyczące profesora Zamorskiego; urodził się w miasteczku N. pod Krakowem, w ostatnim roku wojny znalazł się na terenie województwa wrocławskiego jako były partyzant, a od roku 1945 do 1945 odsiadywał w więzieniu wyrok za przynależność do jednej z band grasujących w tym rejonie. Po wyjściu z więzienia sprawował się nienagannie, ukończył studia na uniwersytecie wrocławskim, gdzie w chwili obecnej wykłada biologię jako profesor nadzwyczajny. Profesora dotychczas nie odnaleziono, pisał dalej Borek, natomiast odnaleziono mocno uszkodzony samochód, porzucony w rowie przy szosie prowadzącej do Otwocka. Rozbite szyby i ślady krwi oraz liczne odciski palców świadczą o tym, że w wozie było więcej osób i że odniosły one obrażenia wskutek kraksy. Powiadomiony o tym porucznik Kowalski

wydał polecenie, aby radio i telewizja podały odpowiednie komunikaty o zaginięciu Ireneusza Zamorskiego.

No, tak - pomyślał kapitan - profesor zapewne uległ wypadkowi i leży gdzieś w szpitalu ranny albo nieprzytomny. A może... rozmyślnie ukrył się, pozostawiając samochód, który następnie ukradziono? - Wariantów nasuwało się mnóstwo. - Ciekawe, czy dadzą nam coś te komunikaty w radiu i telewizji? No, naharowałem się dziś jak wół, należy mi się odrobina życia prywatnego, jazda do domu!

Umówił się na wieczór z Lucyną: mieli pójść gdzieś na kolację, a później potańczyć. Czekala już w jego kawalerce śliczna i zgrabna, w świetnie skrojonej sukience z barwnego tergalu. Na krześle wisiała jego najlepsza, świeżo uprasowana koszula. Ucałował dziewczynę serdecznie.

- Nie będziemy brali samochodu - powiedziała - pójdziemy spacerkiem.

- Rozumiem, zamierzasz mnie spoić i boisz się żebym później nie zadarł z MO prowadząc pod gazem - zaśmiał się. - Ale masz rację, pójdziemy spacerkiem, pogoda jest prześliczna. Lecę do łazienki, a ty włącz telewizor - po dzienniku ma być ważny dla mnie komunikat.

- O Boże - westchnęła dziewczyna - nawet tutaj nie można odetchnąć od milicyjnego drylu, włączyła jednak, ponieważ sama była ciekawa.

W momencie, gdy zapowiedziano komunikat MO - Roszczyk zjawił się już w pokoju. Razem słuchali: „...znaleziono rozbity samochód marki fiat 125. koloru zielonego. Ktokolwiek mógłby udzielić informacji o miejscu pobytu właściciela samochodu Ireneusza Zamorskiego z Wrocławia, proszony jest...” itd. Na zakończenie - zdjęcie pana z bujną czupryną i potężnym nosem.

Jeszcze jedna niespodzianka czekała kapitana tego wieczoru, Kiedy syci wrażeń i tańca zamierzali opuścić lokal, Roszczyk zauważył za filarem mały stolik na dwie osoby, a przy nim dobrodusznego olbrzyma, inżyniera Urbańskiego z „niebrzydką cizią”, jak ją w myśli określił kapitan.

Nie wiedzieć czemu, fakt ten trochę go poruszył. Jednak i w tym małżeństwie, tak harmonijnym na pozór, coś się rwało...

Ciekaw jestem pomyślał - czy Zawidzki o tym wiedział?

## DZIEŃ TRZECI. ŚRODA

Nazajutrz z samego rana rozsiedli się z Kowalskim przy biurku Roszczyka, aby szczegółowo przeanalizować sytuację. Profesor przepadł jak kamień w wodę; obawiali się czy nie przybędzie im nowe śledztwo. Jeżeli chodzi o sprawę Małeckiego, to według relacji Kowalskiego, wyglądała ona trochę dziwnie.

Małecki zeznał, że w swoim czasie opracował sam ową „Instrukcję”. Był wówczas tylko skromnym urzędnikiem w departamencie. Koledzy, których nazwiska figurują na skrypcie, pomagali mu w tej pracy minimalnie. Umowa sporządzona była jednak na wszystkie trzy nazwiska, a to ze względu na wysokie podatki od prac zleconych. Dziwnym trafem egzemplarz „Instrukcji” dostał się

w ręce Zawidzkiego, który zaczął robić Małeckiemu trudności, usiłując wymusić na nim współautorstwo. W zasadzie Zawidzki nie miał żadnych podstaw, aby wystąpić przeciwko Małeckiemu, wystarczyłyby jednak jakieś insynuacje, jakieś złośliwe powiedzonka, czy informacje na ten temat, aby narazić starszego pana na szereg nieprzyjemności i konieczność tłumaczenia się. A z takich sytuacji nie zawsze wychodzi się na czysto. Dlatego też Małecki skłonny już był ustąpić, jednak po zastanowieniu doszedł do wniosku, że lepiej po prostu pracę wycofać, zwracając pobraną zaliczkę. Decyzją swą mocno zaskoczył Zawidzkiego, który wcale nie kwapił się z wydaniem mu maszynopisu.

- A teraz to najciekawsze, dobrze nadstaw uszu - zapowiedział Kowalski. - Wyobraź sobie, że w dniu morderstwa Małecki jako rzeczoznawca brał udział w pewnej konferencji w Ministerstwie Komunikacji. Gmach Ministerstwa Komunikacji znajduje się na Chałubińskiego, tuż przy Koszykowej, a więc niecałe sto metrów od budynku, w którym mieszkają Zawidzcy. O godzinie osiemnastej zarządzono przerwę w obradach, a uczestnicy rozbiegli się po gmachu. Obrady wznowiono po dwudziestu minutach, a Małecki spóźnił się na nie sześć do ośmiu minut. Twierdzi, że podczas przerwy chciał odwiedzić chorego kolegę w szpitalu na Koszykowej, kiedy jednak tam doszedł, zorientował się, że już za późno na wizyty i wrócił. Jak do tej pory nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby potwierdzić jego alibi. I co ty na to?

Kapitan wysłuchał opowiadania Kowalskiego i długą chwilę siedział zamyślony. Przyjaciel przyglądał mu się ze znaczącym uśmiechem. Wreszcie nie wytrzymał.

- Słuchaj no, Marcin, czy moje opowiadanie dotarło aby do twojej świadomości?

- O co ci chodzi? - zachnął się Roszczyk.

- Nie czaruj, trzymasz coś w zanadrzu. Wyglądasz tak, jakbyś już znał mordercę i tylko dumał, w jaki sposób dobrać mu się do skóry, przyznaj się, mam rację?

Kapitan uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Może i tak, ale co z tego, skoro poza pewnymi poszlakami nie mam w garści żadnego konkretnego ani nawet solidnie podbudowanego motywu.

- No, to co robimy dalej?

- Idź dalej tropem tego Małeckiego, może się coś wyklaruje i będzie go można przynajmniej odfajkować. Nie widzę faceta w roli mordercy: sprawa jest zupełnie błaha, a on nie siedzi już na stołku; którego musiałby za wszelką cenę bronić. Ale „Sicher ist Sicher - jak powiedział Manticher”... Sprawdź również, czy nie ma jakichś wiadomości o Zamorskim. Niezależnie od tego musisz przenicować Urbańskiego, ale tak wiesz, do podszewki! Ja natomiast zajmę się Krzycka - powinna już chyba być? Później pójdeź zdać sprawę staremu, a gdzieś około dwunastej pojechalibyśmy na Topolową.

- Fajno - skwitował tę przemowę Kowalski i wyszedł, a za chwilę piękna Liliana wsunęła się do pokoju. Ciemne kręgi pod oczami świadczyły o nie przespanej nocy; była jednak opanowana i

spokojnie wyciągnęła rękę do kapitana. Roszczyk wskazał jej krzesło i zaproponował papierosa.

- Nie palę - usłyszał cichą odpowiedź. - Po co mnie pan tu ściągnął? Przecież wszystko już powiedziałam.

- Niezupełnie - burknął niezbyt grzecznie Roszczyk, bo zły był na siebie, że nie bardzo wie, jak się dobrać do tej pseudo wdowy, jak ją nazywał, w myśli. Krzycka uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Widzę, że pan kapitan dziś nie w humorze, coś nie wychodzi? - zabrzmiało to nieco zaczepnie. Niespodziewanie dla siebie samego kapitan roześmiał się.

- Wychodzi, wychodzi i to aż za dużo, właśnie w tym sęk. A przede wszystkim wyszło mi, że pani dobrze wie, kto znajdował się wtedy na schodach i na to pytanie muszę otrzymać prawdziwą i wyczerpującą odpowiedź. To raz. Druga bardzo ważna dla pani sprawa to ustalenie miejsca, w którym zgubiła pani pierścionek. Proszę się skupić i odpowiedzieć mi dokładnie na to pytanie. Naprawdę nie chciałbym trzymać tu pani godzinami. Aha, jeszcze jedno; wspomniała pani, że zanim wyszła pani z mieszkania na Topolowej, redaktor Zawidzki włączył telewizor. Proszę sobie przypomnieć, jakiego rodzaju program emitowano, to też bardzo istotne.

Krzycka patrzyła na kapitana wzrokiem, w którym nietrudno było się domyślić źle maskowanej niechęci. Oczy jej stały się zimne, źrenice wielkie i okrągłe, po chwili milczenia zdobyła się jednak na odpowiedź.

- Nie zwracałam uwagi na to, co dawali, bo jak panu wiadomo, zbierałam się do wyjścia i do tego byłam wściekła... ale jak przez mgłę majaczy mi się, że emitowali jakiś wojenny serial czy coś w tym rodzaju. W każdym razie pamiętam ogólną strzelaninę na ekranie. Ale to pewnie był sam początek filmu, bo mignęły mi fragmenty chyba z poprzednich odcinków.

- To by się zgadzało, a równocześnie znaczyłoby, że pani wyszła od Zawidzkiego zaraz po osiemnastej piętnaście, prawda? Wyświetlanie filmu zaczęło się właśnie o osiemnastej piętnaście.

- Możliwe, nie zastanawiałam się nad tym, skąd mogłam przypuszczać, że to potem będzie ważne...

- Nawet bardzo ważne, bo zawęży limit czasu, w którym zginął Janusz Zawidzki, rozumie pani? No, a teraz szybko, kogo widziała pani na schodach?

- Ależ, panie kapitanie! - Krzycka wyraźnie usiłowała, zyskać na czasie.

- Żadne „ależ”! Dość już tej ciuciubabki! Proszę odpowiedzieć na moje pytania. Byliśmy tam na wizji lokalnej, z której jasno wnika, że z klatki na trzecim piętrze można zobaczyć schody aż do pierwszego piętra w dół. Jeżeli nawet winda była w ruchu, pozostało pani dość czasu na zorientowanie się, kto idzie. No, szybko, kogo chce pani kryć i dlaczego?!

Krzycka zebrała się w sobie.

- Nie wiem. Widziałam tylko jakąś potężną sylwetkę i to wszystko!

- I po co ta cała gra, pani Liliano - powiedział nieoczekiwanie łagodnym głosem kapitan - niechże pani zrozumie, że ten gość, którego chce pani osłaniać, usiłował panią zrobić w to morderstwo. Przecież tylko morderca mógł podłożyć w alkowie Zawidzkich pani pierścionek i rozlać perfumy; gdyby nie pewien szczegół, ujawniony w czasie śledztwa, siedziałyby pani tu teraz niejako świadek, lecz jako oskarżona, rozumie pani? A kryjąc mordercę, może pani być również oskarżona o współudział... Tego pani nie wzięła pod uwagę, prawda?

Krzycka chyba wreszcie zrozumiała, bo wstrząsnął nią dreszcz i pochyliła głowę, zakrywając twarz dłońmi, jakby chciała skryć swoje myśli przed oczami kapitana. Po chwili jednak spróbowała walczyć dalej.

- Nie rozumiem pana - powiedziała hardo. - Wiem od Urbańskiej, że Zawidzka przyznała się do zabicia męża o co więc jeszcze chodzi?

- Ach, ta kobieca logika - zachnął się kapitan. - I pani sądzi, iż łatwo uwierzę, że to Krystyna Zawidzka ukradła pani pierścionek i podłożyła go w swojej sypialni, aby zwalić winę na panią? Niby kiedy i w jaki sposób mogłaby to zrobić? Dalej - żeby nie było nieporozumień - powiem pani, że był jeszcze ktoś inny, kto wszedł przed Zawidzką, zastrzelił Zawidzkiego i ukrywał się za kotarą, podczas gdy ona strzelała do trupa - rozumie pani? - Morderca posłużył się pierścionkiem, aby ZWRÓCIĆ uwagę na panią, co zresztą w zupełności mu się udało. No, a teraz szybko, kogo widziała pani na schodach?

- Nie wiem, nie wiem, nie widziałam dokładnie, nie mogę nikogo oskarżać, nie mogę! - prawie załkała Krzycka.

- Więc ja pani pomogę. To był inżynier Urbański prawda? - niespodziewanie dla samego siebie wypalił Roszczyk.

Krzycka rozszlochała się na dobre. - No, już po operacji - odezwał się uspokajająco kapitan. - Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, która to mogła być godzina?

- Tego nie wiem - wyjąkała - nie patrzyłam na zegarek, ale to było zaraz po moim wyjściu na schody. O Boże, dlaczego on mnie tak nienawidzi?

- Musiała mu pani kiedyś dobrze nadepnąć na odcisk. No, a jak z tym pierścionkiem?

- Przypuszczam, że zgubiłam go w teatrze, jakieś dwa tygodnie temu; byliśmy oboje z mężem i w foyer spotkaliśmy Urbańskich, poszliśmy później razem na kolację. To chyba musiało być wtedy, kiedy w szatni wkładałam rękawiczki... Jest za luźny, łatwo mi się zsuwa...

- Przyjaźnicie się z Urbańskimi?

- Tak, trochę - bąknęła Krzycka, jakby zażenowana. - Widzi pan, Urbańska jest na mnie wściekła za Krysie, a trochę chyba też zazdrosna o męża.

- A ma jakiś powód do tego?



- Ależ skąd, przecenia pan moje możliwości, kapitanie! - Pani Liliana z każdą minutą odzyskiwała grunt, wydawało się również kapitanowi, że zauważył jakby ulgę w jej zachowaniu. - Inżynier Urbański próbował u mnie szczęścia - mówiła to już niemal swobodnie, żartobliwie - ale ja nie znoszę takich zwalistości, to dla mnie mnóstwo za wiele, odstawiłam go więc od piersi. Jak widać na załączonym obrazku, nie zapomniał mi tego, ale żeby aż tak? Przecież to skończone draństwo! - spuściła głowę, aby ukryć miotające nią uczucia. Kapitan podziwiał w myśli jej tupet. Wreszcie przerwał milczenie.

- A jak pani mąż zareagował na tę wiadomość o przyznaniu się Zawidzkiej?

Krzycka wzruszyła ramionami.

- Zmartwił się, ale uważał, że jej nic nie zrobią, bo jak mówił - „ten profesor już się o to postara”.

- Rozumiem - kapitan uśmiechnął się do siebie. - No cóż, pani Liliano, czuję, że ma pani jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Właśnie, nie jestem pewna - powiedziała wahająco - ale jak wybiegłam wtedy na ulicę, to na przystanku tramwajowym po przeciwnej stronie ulicy mignęła mi Urbańska; głowy jednak za to nie dam.

Jedzie na całego... - pomyślał Roszczyk, głośno zaś powiedział:

- Sprawdzimy to; widzę, że ulżyło pani po tej spowiedzi?

- I tak, i nie - szepnęła pani. - Ale czy mogłabym prosić o utrzymanie tego wszystkiego w tajemnicy przed moim mężem?

- Myślę że nie będzie potrzeby wprowadzania go w te szczegóły. A teraz chciałbym jeszcze porozmawiać z panią o redaktorze Zawidzkim.

- Słucham - szepnęła potulnie.

- Czy nie mówił ostatnio pani, że spodziewa się spadku lub coś w tym rodzaju? Może padały jakieś uwagi, aluzje, z których dałoby się wywnioskować...

- Zaraz, zaraz... - przerwała kapitanowi Krzycka. - Coś mi się przypomina. Co prawda nie było mowy o żadnym spadku, ale Janusz spodziewał się dużych pieniędzy i to w najbliższym czasie.

- Pieniądzy, skąd? Nie mówił tego?

- Nie, śmiał się tylko, że ma taki „magiczny papierek, za który mu nielicho zapłacą”. Pokazywał mi nawet z daleka jakiś strzęp gazety, do którego coś tam było podpisane, ale nie wiem co, bo zaraz go schował.

- A gdzie przechowywał ów cenny papierek? - Widziałam wówczas, że wcisnął go do

środkowej szuflady biurka i biurko zaraz zamknął na klucz.

- Kiedy to było?

- Tego ostatniego dnia - powiedziała cicho.

- Rozumiem i dziękuję pani. A o Urbańskiego niech się pani nie martwi. W ostatecznym rozrachunku każdy otrzyma, na co zasłużył - zakończył enigmatycznie.

- A co będzie z Krysią... z Zawidzką?

- No, cóż prawdopodobnie skończy się to tak, jak określił pani mąż. Jest przecież mnóstwo okoliczności łagodzących. Odpowiadać będzie w każdym razie z wolnej stopy.

- Czy mogę już odejść, panie kapitanie?

- Tak, proszę, oto przepustka, do widzenia pani. Piękna Liliana z wyraźną ulgą opuściła pokój, a kapitan zamyślił się głęboko.

Po chwili wszedł porucznik Kowalski.

- Sprawdziłem tego Małeckiego - meldował już od progu. - Szatniarz ze szpitala go pamięta. Pytał, do której wolno odwiedzać chorych. Tego podejrzanego możesz już skreślić.

- A co z Zamorskim?

- Ciągle nic. W okolicznych szpitalach nie leży. Sprawdzają w dalszych... Pogotowie ratunkowe nie udzielało pomocy nikomu takiemu. A teraz bomba! Żadnego z Urbańskich, nie było w domu w krytycznych godzinach; dzieci bawiły się u sąsiadów.

Przesłuchali taśmę z ostatnim zeznaniem Krzyckiej i postanowili pojechać do mieszkania Zawidzkich.

A tymczasem nad głową nic nie przeczuwającego inżyniera Urbańskiego zbierała się groźna burza.

Dotarłszy do mieszkania Zawidzkich, obaj oficerowie rzucili się w pierwszej kolejności na środkową szufladę biurka. Co prawda znajdujące się w niej papierki były już uprzednio dokładnie przewertowane i posegregowane przez Kowalskiego, Roszczyk jednak chciał sprawdzić, czy pod dnem szuflady nie ma jakiegoś schowka. Gdy po wyciągnięciu szuflady i oświetleniu wnętrza latarką dojrzał wewnątrz coś białego, bez słowa spojrzął na zmieszanego podporucznika i wsunął dłoń w otwór. Plik zmiętoszonych papierów najwidoczniej wysunął się z przepełnionej szufladki i uwiązał poza tylną ścianką.

Roszczyk wyciągnął papiery jeden po drugim. Były tam dwie stare umowy na prace zleczone, jakieś protokoły - w sumie nic ciekawego. Dopiero któryś z kolei świstek wywołał okrzyk kapitana.

- Popatrz no tutaj!

Był to skrypt dłużny. Wynikało z niego, że Urbański pożyczył od Janusza Zawidzkiego 20 000 zł, które zobowiązał się zwrócić w całości w dniu 17 maja bieżącego roku.

- O rany, przecież 17 maja było właśnie w ten poniedziałek! - wykrzyknął porucznik.

- No, to już coś jest - powiedział Roszczyk. - Łatwiej będzie skruszyć naszego inżynierka, ale to jeszcze nie to, czego szukam!

Dla odmiany w chwilę potem Kowalski położył przed kapitanem list, pisany dużym, wyraźnym pismem. List był z Toronto, obfitował w różnego rodzaju informacje z życia jakiejś starszej pani; naszych oficerów zainteresował jednak pewien szczególny fragment; pani pisała:

*... A teraz, Krysiuniu, zwracam się do Ciebie z wielką prośbą. Nie wiem, jak długo jeszcze pożyje, a bardzo chciałabym Cię przed śmiercią zobaczyć. Pragnęłabym również poznać Twego męża, o którym mi zbyt wiele nie pisałaś. Proszę, abyś tu przyjechała - z mężem, jeśli to możliwe - i pobyła u mnie przez kilka miesięcy. Uzbierałam dosyć pieniędzy, aby Wam zapewnić wygodną podróż i pobyt u mnie. Mam duże mieszkanie, puste teraz po wyjeździe Marty. Jeżeli zechcecie - mam dosyć znajomych, którzy pomogą Wam znaleźć na ten okres odpowiednią pracę, abyście mogli porobić jakieś oszczędności na przyszłość. Ty jako plastyczka na pewno znajdziesz tu pole do popisu, choćby wśród naszej Polonii. A więc czekam z niecierpliwością Twojej odpowiedzi. Możecie przylecieć samolotem, ale ja osobiście proponuję statek, bo podróż morzem jest cudowna i relaks całkowity. Twoja kochająca matka chrzestna*

*Bronisława Sobecka*

List nosił datę sprzed miesiąca. Roszczyk i Kowalski patrzyli na siebie bez słowa.

- Miał nosa ten profesor od czubków - zaśmiał się porucznik - ot i cała tajemnica nawrócenia Zawidzkiego. Że też ludzie tak się czepiają tej zagranicy! A swoją drogą los się do nich uśmiechnął: daleka podróż, mieszkanie i utrzymanie nic by ich nie kosztowały. Wszystko, co udałoby się im zarobić, przywieźliby do kraju i...

- A to co znowu? - krzyknął nagle Roszczyk, przerywając monolog młodszego kolegi. Chwilę milczał, ściskając w ręce jakiś wycinek z „Expressu Wieczornego” z przypiętym do niego wąskim paskiem papieru - wreszcie bez słowa podał go Kowalskiemu.

Patrzyli teraz na siebie, nie dowierzając własnym oczom, i nagle obaj wybuchnęli gromkim śmiechem. Kapitan oprzytomniał pierwszy.

- Jedziemy, szybko! Ale czekaj, zatelefonuję!

Połączył się z komendą i wydał polecenie, aby natychmiast sprowadzono Urbańskiego. Następnie upchali papiery byle jak do szuflady, zabrali dokumenty, które ich zainteresowały, i wypadli z mieszkania. Gdy znaleźli się na parterze, do windy wsiadała młoda dziewczyna, której twarz wydała się Roszczykowi znajoma. Uśmiechnął się pod nosem.

Kiedy około godziny piętnastej wylądowali ponownie w komendzie, Urbański już czekał.

Gdy znalazł się na krześle przed biurkiem Roszczyka, ten powiedział ostro:

- Usiłował, nas pan wykiwać, panie Urbański, ale nic z tego. Gdzie pan był krytycznego dnia między godziną siedemnastą a dziewiętnastą?

- Cóż to za ton, panie kapitanie - obruszył się wezwany. - Przecież mówiłem już panu, że siedziałem w domu z żoną i dziećmi.

- Kto może to poświadczyć?

- Jak to, kto? Oczywiście żona.

- Niestety, żona tego nie poświadczy, bo jej również nie było w domu w tym czasie.

- Nie... było? Nie rozumiem - bąkał Urbański, patrząc zdumionym wzrokiem na kapitana.

- Był pan przekonany, że żona w tych godzinach siedziała w domu i może zapewnić panu alibi; otóż wyprowadzam pana z błędu: znajdowała się w krytycznym czasie na ulicy Topolowej.

Urbański, trupioblady, sprawiał wrażenie człowieka rażonego piorunem, wreszcie oklapł zupełnie. Nie wyglądał już na dobrodusznego olbrzyma: przypominał raczej gigantyczną gumową zabawkę, z której powoli uchodzi powietrze.

Kapitan szedł za ciosem.

- Zna pan ten rewers? - Wyciągnął zabrany z mieszkania Zawidzkich skrypt dłużny.

Urbański spojrzał, a w jego oczach widać było śmiertelne przerażenie. Kiwnął tylko głową.

- Czy po ten papier chodził pan na ulicę Topolową?

Urbański milczał. Wówczas Roszczyk powiedział twardo:

- Inżynierze Urbański, zmuszony jestem zatrzymać pana pod zarzutem zamordowania Janusza Zawidzkiego. Pańska obecność w krytycznym czasie w domu numer 17 przy ulicy Topolowej została stwierdzona ponad wszelką wątpliwość. Czy przyznaje się pan do winy?

- Ależ, panie kapitanie! - próbował się bronić Urbański - przecież Krystyna Zawidzka sama przyznała się do tego morderstwa!

- Pani Zawidzka przyznała się, że strzelała do męża - dobitnie odparł kapitan. - Ale redaktor Zawidzki został zamordowany już wcześniej kulą wystrzeloną z bezpośredniej odległości. Kule wystrzelone przez Zawidzką ugrzęzły w ścianie. Spłoszyła ona jednak mordercę, który nie zdążył odszukać w szufladzie interesującego go papierka. Nie warto więc zaprzeczać, mamy dosyć

dowodów, aby pana skazać, jednak szczerze przyznanie się do winy zawsze jest zaliczone na dobro oskarżonego. A więc słucham pana!

Urbański chwilę siedział w milczeniu, z opuszczoną głową, wreszcie otrząsnął się, jakby powziął jakieś postanowienie.

- Nie mam panu nic do zakomunikowania, może pan ze mną robić, co pan uważa za stosowne. Będę jednak odpowiadał tylko w obecności mego adwokata.

- Jak pan uważa. W tej sytuacji muszę pana zatrzymać.

- Trudno, jeżeli nie może być inaczej...

- Bardzo nie chciałbym tego robić, inżynierze, może jednak coś nam pan wyjaśni?

- Nie mogę wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

I olbrzym, śmiertelnie blady, spokojnie pozwolił się wyprowadzić z pokoju.

Po jego wyjściu kapitanowi udało się jeszcze dostać do szefa, aby zreferować mu sprawę i swoje osiągnięcia oraz plany.

Pułkownik wysłuchał go z zainteresowaniem, pochwalił dotychczasowe posunięcia i bez zastrzeżeń przyjął wyciągnięte wnioski.

- Nic dodać, nic ująć - powiedział z uśmiechem. - Z góry aprobuję twoje dalsze kroki; sprawa musi być zapięta na ostatni guzik.

Po wyjściu od szefa kapitan połączył się z mieszkaniem Krzyckich i poprosił redaktora o asystowanie w charakterze świadka przy jutrzejszym spisywaniu dokumentów w mieszkaniu Zawadzkiego.

Zegar „pod Kurantem” wybił właśnie godzinę dwudziestą drugą, gdy drzwi mieszkania numer 11 przy ulicy Topolowej 17 otworzyły się bezszelestnie. Jakiś mężczyzna w starym ortalionie i z twarzą obwiązaną bandażem cicho wsunął się do przedpokoju, świecąc sobie latarką.

Gdy dostał się do pokoju, oświetlił latarką biurko i spróbował wyciągnąć środkową szufladę. Nie była zamknięta. Mężczyzna wyjął ją całkowicie i postawił na blacie, a następnie w pośpiechu zaczął po kolei przeglądać leżące w niej papiery. Na biurku spiętrzyła się już spora sarta, gdy nagle poszukiwacz wydał cichy okrzyk triumfu. W ręku trzymał wycinek z „Expressu Wieczornego” z przypiętym doń wąskim paskiem papieru. Przyjrzał mu się dokładnie, porównał z wycinkiem, a następnie wsunął do kieszeni, z której natomiast wydobył granatowy portfel i usiłował wepchnąć go do szuflady pod inne papiery.

W tej samej chwili za kotarą coś się poruszyło. Mężczyzna rzucił się do ucieczki, jednym szarpnięciem otworzył drzwi na klatkę schodową i... cofnął się gwałtownie pod naporem dwóch rosnących milicjantów. Gdy z podniesionymi do góry rękami znalazł się z powrotem w pokoju - pod

jaskrawym światłem wielopłomiennego żyrandola staął twarzą w twarz z kapitanem Roszczykiem.

- No, dosyć tej maskarady, panie Krzycki, niech no pan ściągnie ten bandaż, wcale panu w nim nie do twarzy. Proszę mi oddać ten odcinek Toto-Lotka, nie będzie już panu potrzebny, wygrana jest zastrzeżona. O, jest także portfel redaktora Zawidzkiego a myśmy go tak szukali!

Krzycki milczał, ze spuszczoną głową. Kapitan kpił dalej.

- Rozumiem, że milionowa wygrana to bardzo smakowity kąsek, ale żeby dla niej zabić najlepszego przyjaciela i jeszcze rzucić podejrzenia na własną żonę?

Zatrzymany uniósł głowę.

- Upraszcza pan sprawę, kapitanie, w rzeczywistości wszystko wygląda inaczej. Wygraliście, więc nie powinien pan naigrawać się z pokonanego.

Nie powiedział więcej słowa, gdy zakładano mu kajdanki i wyprowadzano z pokoju.

## ZAKOŃCZENIE

W sobotę rano w gabinecie szefa, pułkownika Snarskiego, odbyła się odprawa, podczas której kapitan Roszczyk zreferował sprawę morderstwa przy ulicy Topolowej.

- Może na początek opowiesz nam, jak to właściwie było z tym Urbańskim - poprosił pułkownik Snarski.

- No, jeżeli chodzi o niego, zbiegło się mnóstwo okoliczności obciążających go i mogło z nim być krucho. Przyznam się, że ja też w pewnym momencie trochę pokpiłem sprawę, a mianowicie kiedy zaraz po morderstwie odwiedziłem Urbańskich, zmyliła mnie atmosfera, panująca w ich domu. Uważałem ich za parę idealnych małżonków. Kiedy na pytanie, gdzie spędzili popołudnie, inżynier bez wahania odpowiedział, że byli w domu z dziećmi i czekali na telefon od Zawidzkiej - nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, aby to gruntowniej sprawdzić. I to był właśnie mój kardynalny błąd. Jednak szczęśliwy dla mnie przypadek zrzucił, że wypatrzyłem Urbańskiego w nocnym lokalu z jakąś całkiem ładną cizią. Postanowiłem wówczas sprawdzić prywatne życie pana inżyniera i co się okazało? Panienska zamieszkuje po sąsiedzku z Zawidzkimi, a krytycznego popołudnia pan inżynier znajdował się właśnie u niej, mniej więcej w tym czasie, kiedy popełniono morderstwo. Żona, której Urbański opowiadał, że odwiedza szwagra, zaczęła coś podejrzewać (a może to nawet redaktor Krzycki coś jej napomknął), śledziła męża tego dnia i widziała tych dwoje wchodzących razem - pod rączkę - do domu przy ulicy Topolowej. Wróciła więc wściekła do siebie, jednak wobec groźnych późniejszych wydarzeń lojalnie kryła męża, a on nieświadomie uzczył jej alibi na popołudniowe godziny. Pech chciał, że w tym właśnie dniu przypadał termin zwrotu dość znacznej pożyczki, którą Urbański zaciągnął bez wiedzy żony u swego szwagra. Odnośny skrypt dłużny znaleźliśmy wśród papierów Zawidzkiego. Tak więc pozornie wszystkie fakty przemawiały za winą Urbańskiego, który sprowadzony do komendy i poinformowany, że jego alibi diabli wzięli, zaczął grać na zwłokę, obawiając się, aby nie wmieszać w to morderstwo własnej żony. Odmówił wszelkich wyjaśnień, niczemu jednak nie zaprzeczył - prosząc jedynie o skontaktowanie go z

adwokatem. Zmuszony byłem zatrzymać Urbańskiego, co z kolei ośmieliło prawdziwego mordercę, któremu oświadczyłem, że następnego dnia zaczniemy spisywać dokumenty Zawidzkiego. To podziałało jak ostroga, Krzycki musiał działać. Po godzinie dwudziestej drugiej przychwyciliśmy go w momencie, gdy schowawszy do kieszeni ów „magiczny papierek”, to jest kontrolny kupon Toto-Lotka, usiłował wetknąć pod papiery w szufladzie ukradziony Zawidzkiemu portfel.

- Ale po co kradł portfel?

- Trochę źle się wyraziłem. Nie miał zamiaru kraść portfela, zabrał go tylko dlatego, aby się upewnić, czy nie ma tam tego kontrolnego kuponu. Po ucieczce Zawidzkiej z mieszkania, bał się pozostać tam choćby kilka minut, nie zdążył więc przejrzeć zawartości portfela na miejscu.

- A jak zareagowała Urbańska na przygody męża?

- O, to bardzo mądra babka. Kocha go i wie, że on też ją kocha, a ponadto mają przecież dzieci. Tak się przy tym bała, aby mąż nie został wplątany w tę sprawę, że broniła go jak lwica, no i oczywiście - w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa - wszystko mu wybaczyła. Myślę, że po takiej nauczce Urbański więcej nie zaryzykuje skoków na boki.

- A teraz powiedz nam, od kiedy właściwie zacząłeś podejrzewać Krzyckiego?

- Chyba od samego początku, bo przesłuchując go po raz pierwszy wiedziałem już o zdradzie jego żony i mimo jej zapewnień trudno było mi uwierzyć, że on nie orientował się w stosunkach łączących ją z Zawidzkim. Ta był dla mnie pierwszy sygnał. Drugi sygnał otrzymałem bezpośrednio od niego. Prześfajnował trochę w swoich kombinacjach. Kiedy poinformowałem go o zamordowaniu Zawidzkiego z punktu zapytał: „Czy ktoś go napadł w mieszkaniu? Dlaczego się nic bronił, miał przecież rewolwer?” A na moje pytanie, kto według niego, mógł zamordować redaktora - odpowiedział, że jego zdaniem mogła to uczynić zazdrosna kobieta, Uraczył mnie przy okazji taką gadką, jak to kobiety strzelają: „Kładą palec na cynglu, zamykają oczy i nie odrywają palca, aż wystrzelą wszystkie kule, a potem rzucają rewolwer na podłogę”. A przecież ja nic nie mówiłem o tym, gdzie i w jaki sposób został zamordowany Zawidzki ani też o strzelaninie, jaka tam miała miejsce. Do tego dołączyła się jeszcze historia z pierścionkiem Krzyckiej, który dziwnym trafem znalazł się w sypialni Zawidzkich, mimo że tegoż dnia rano dozorczyńni, wynajmowana przez Zawidzkich, wysprzątała pokój dokumentnie i niczego takiego nie widziała. Doszedłem do wniosku, że Krzycki musiał wiedzieć wszystko o zdradzie żony i w ten sposób chciał się zemścić na niej i na swym fałszywym przyjacielu. Nie pasował mi jednak do tej wersji ów skradziony portfel i to szukanie czegoś w biurku Zawidzkiego. W każdym bądź razie zacząłem pilnie śledzić poruszenia Krzyckiego. Trudność polegała na tym, że niełatwo było podważyć jego alibi, ponieważ krytycznego wieczoru miał dyżur nocny w PAP-ie i wielokrotnie wychodził z pokoju redaktorów, aby zbierać wiadomości na dalekopisach. Spacerował po różnych piętrach i trudno byłoby udowodnić, że z gmachu wychodził. Postanowiłem więc działać w taki sposób, aby go zmusić do ujawnienia się. Niechcący przysłużył mi się Urbański, pasował jak ulał do tej sprawy; Krzycka, orientująca się, że Urbański ma kochankę mieszkającą tuż obok Zawidzkiego, nie zaprzeczyła, gdy zapytałem ją, czy to nie Urbańskiego zauważyła na schodach. Nie wiem, dlaczego, ale wszelkimi siłami próbowała kryć męża: ona rzeczywiście rozpoznała go na schodach, ale nie zdradziła nawet wówczas, gdy jej jasno wyklarowałem, że próbował zrobić ją w to morderstwo. Może go jeszcze kocha, a może po prostu

bała się stracić męża, skoro utraciła kochanka? A może w końcu wydawało się jej, że on jednak zabił Zawidzkiego z zazdrości o nią? Nie wiem, trudno odgadnąć tajniki kobiecej duszy. Kiedy w chwilę po tym przesłuchaniu pojechaliśmy z porucznikiem Kowalskim do mieszkania Zawidzkiego, aby odnaleźć ów „magiczny papierek”, o którym mówiła Krzycka, byliśmy przygotowani na jakiś dokument, będący przedmiotem szantażu; nie wpadło nam do głowy coś tak prostego, jak wygrana w Totka. Gdy kompletnie zaszokowani zgłosiliśmy się ze znalezionym kuponem kontrolnym w dyrekcji Totalizatora Sportowego, okazało się, że zakład został zrobiony „na okaziciela”, zawiadomienie jednak przyszło od pana Zygmunta Krzyckiego (wygraną należy zgłosić w ciągu 48 godzin). Wtedy zrozumieliśmy całą sprawę i zastawiliśmy pułapkę. Krzycki musiał przyjść po kupon kontrolny, w przeciwnym wypadku nie mógłby zainkasować wygranej. Przyłapany na gorącym uczynku, przyznał się do wszystkiego - z wyjątkiem premedytacji. Wydaje mi się, że on istotnie działał pod wpływem impulsu, nic bowiem nie wskazuje na fakt, aby przygotowywał się do tego morderstwa.

- No, to chyba wszystko jasne, ale chciałbym jeszcze wiedzieć, jak on tłumaczy swój postępek, co mówi na swoją obronę?

- O, mówić to mówił, zresztą wszystko nagrałem na taśmę, robimy z tego protokół dla prokuratora; to, co mówił, brzmiało nawet całkiem sensownie, można by to jednak streścić w kilkudziesięciu zdaniach.

- No, więc streszczaj! - zniecierpliwił się pułkownik.

- Zaznaczam, że to, co teraz powiem, będzie mocno okraszone moimi własnymi spostrzeżeniami i komentarzami. Krzycki przedstawia sobą typ człowieka słabego, nijakiego - ani złego, ani dobrego. Kształtowały go zawsze sytuacje i okoliczności. Większą część życia spędził w cieniu silnej indywidualności kolegi - Janusza Zawidzkiego. Obaj pochodzą z tego samego miasteczka, położonego na granicy dawnego województwa warszawskiego. Zawidzki był synem miejscowego notabla, mieszkał w pięknej willi, Krzycki pochodził z rodziny drobnych urzędników państwowych i imponowało mu, że taki Zawidzki wybrał go na przybocznego. Nie zdawał sobie wtedy sprawy, że tamten go po prostu wykorzystuje. Dopiero w którejś tam klasie, w szkole, w związku z pewnym incydentem doszedł do wniosku, że postępowanie ukochanego kolegi dalekie jest od elementarnej przyzwoitości. Nie potrafił mu się jednak wywinąć. Zaczął go nienawidzić, ale w dalszym ciągu pozostawał jego satelitą. Kompleks niższości był u niego tak silny, że bał się samodzielności. Podczas wojny miejscowi chłopcy, za młodzi jeszcze, aby wstąpić do partyzantki, organizowali pomoc dla ukrywających się w sąsiednich lasach partyzantów. Organizatorem był, oczywiście, Janusz Zawidzki, wykonawcą - Krzycki, który najczęściej bywał narażony na niebezpieczeństwo zdemaskowania; laury zbierał zaś Zawidzki. Wojna się skończyła, oni znów znaleźli się razem, tyle że w województwie wrocławskim. Zostali reporterami. Krzycki wyszukiwał najciekawsze sprawy, a wykorzystywał je dla swoich celów Zawidzki - i to nie zawsze w sposób uczciwy. Chęć zemsty stała się obsesją Krzyckiego. Już nie próbował uwolnić się od Zawidzkiego, krążył wokół niego i czekał, aż tamtemu powinie się noga. Ale nic z tych rzeczy. Obaj przenieśli się do Warszawy, Krzycki poznał swoją obecną żonę, zakochał się i na jakiś czas zrezygnował z planów zemsty. Odmówił Zawidzkiemu, gdy ten zaproponował mu pracę w jego redakcji, zaczął się usamodzielniać, doszedł do pewnych sukcesów zawodowych. Bywał z żoną u Zawidzkich, już na zasadach partnerstwa, mimo że Zawidzki ciągle próbował kierować krokami Krzyckiego. Kiedy ten starał się okazać koledze, że



w obecnej sytuacji są sobie najzupełniej równi, Zawidzkiemu trudno było się z tym pogodzić. Nie chciał stracić swego satelity. I nagle Krzycki poczuł, że coś w jego życiu się psuje. Żona zmieniła się w stosunku do niego całkowicie, mimo że starała się to ukrywać. Krzycki bardzo szybko zorientował się, że to Zawidzki w sposób perfidny odgrywa się na nim, uwiódłszy mu żonę. O, Zawidzki umiał się przypodobać babkom, nic więc dziwnego, że znudzona już mężem piękna Liliana zakochała się bez pamięci w rutynowanym, doświadczonej podrywacz. Zawidzki był tak wyrafinowany, że opowiadał „przyjacielowi” pikantne szczegóły współżycia z kochanką, udając, że nie orientuje się, iż tamten wie, o jaką kobietę chodzi. Wówczas Krzycki postanowił się zemścić na obojgu i w tym celu zabrał żonie pierścionek. Miał go podłożyć w mieszkaniu Zawidzkich, aby później znaleźć go niby przypadkowo, no i wywołać skandal. Nie miał jednak jakoś odpowiedniej okazji, a tymczasem dowiedział się od przyjaciela, że ten zamierza zlikwidować dotychczasowy nielegalny związek i rozpocząć „nowe życie”, zaczynając od wycieczki z żoną do Włoch. Zemsta wysuwała się Krzyckiemu z rąk. Zdawał sobie przy tym sprawę, że Zawidzki - korzystając z jego pośrednictwa pragnie uniknąć scen pożegnalnych. Liczył przecież, że Krzycki powtórzy żonie to, co usłyszał od przyjaciela. Krzycki jednak nie pisał w domu ani słowa, chcąc zmusić w ten sposób Zawidzkiego do wypicia nawarzonego piwa.

W tymże czasie obaj panowie typowali wspólnie Toto-Lotka, a następnie Krzycki złożył go w którymś punkcie, notabene po półgodzinnym staniu w kolejce. Kupon oddał Zawidzkiemu, zapisał jednak numery. Jakież było jego zaskoczenie, gdy śledząc losowanie w programie telewizyjnym stwierdził, że na jeden z ich wspólnych zakładów przypada milion złotych. Zatelefonował do redaktora, jednak nie zastał go w domu. W poniedziałek rano ważne sprawy biurowe nie pozwoliły mu wyjść z redakcji i dopiero po osiemnastej pobiegł do współnika, aby się podzielić wielką nowiną.

Zawidzki z punktu zgasił jego radość, oświadczając, że doskonale o tym wie, ale przypomina sobie, iż to on sam zakreślił szczęśliwe typy, nie ma więc zamiaru dzielić się z nim po połowie, a najwyżej może mu odpalić jakąś sumkę na dobrą kolację w towarzystwie „dziewczynek”. Jeszcze jakby na ironię, poprosił kolegę o wyciągnięcie kuponu z szuflady, aby mógł zadeszować do Totka i zgłosić wygraną. Krzycki, udając, że wypowiedź Zawidzkiego uważa na żart, podszedł do szuflady; nie znalazł jednak kuponu, natomiast w rękę wpadł mu nabity rewolwer. Spojrzał na ironiczną minę pseudo przyjaciela rozpartego w swym archaicznym fotelu i zdecydował się. Podszedł do niego blisko, pytając, czemu trzyma w szufladzie nabity rewolwer. Równocześnie przekręcił do oporu gałkę fonii telewizora. Gdy Zawidzki podniósł na niego zdziwione oczy - Krzycki strzelił mu prosto w serce. Podobno strzelał bardzo dobrze i to była jedna z niewielu rzeczy, które, jak twierdzi, robił lepiej od Zawidzkiego. Następnie wytarł swe ślady na rewolwerze, podrzucił w sypialni pierścionek żony i stłukł flakonik z jej perfumami; od wielu dni nosił go przy sobie. Czuł się, jak mówił, niczym Bóg Zemsty, któremu jeszcze w dodatku przypadła wygrana miliona złotych. Wciągnął rękawiczki i zaczął nerwowo szukać kuponu, gdy nagle usłyszał, że ktoś otwiera wejściowe drzwi własnym kluczem.

Przekonany, że ujrzy żonę - ukrył się za kotarą. Ku jego wielkiemu zdumieniu do pokoju wpadła Zawidzka i zaskoczona rykiem telewizora, zatrzymała się w progu. Coś tam krzyczała do męża, ten jednak, rzecz jasna, nie reagował. Zawidzka rozejrzała się dokoła, spostrzegła rewolwer porzucony na stoliku-barku tuż koło drzwi, chwyciła go i wygarnęła cały magazynek do siedzącego. Następnie

rzuciła rewolwer na ziemię i uciekła. Krzycki obawiając się, aby nie nadbiegli ludzie zwabieni kanonadą, zdążył tylko wyciągnąć Zawidzkiemu portfel, wyłączył telewizor i uciekł, zgasiwszy jeszcze po drodze światło w pokoju. Pobiegł na najwyższe piętro, wciągnął windę i zjechał dopiero wtedy, gdy uzyskał pewność, że na klatce schodowej nie ma nikogo. Wysłał zawiadomienie do Totka i szukał okazji do znalezienia kuponu. To wszystko. „Zawidzki znowu mnie zdystansował, tak mi na koniec powiedział - „ale nie żałuję niczego, Po raz pierwszy od wielu, wielu lat czuję się wolny, a Janusz Zawidzki zasłużył na taką śmierć wielokrotnie”.

Kapitan Roszczyk zakończył swoje opowiadanie, obecni milczeli przez chwilę, wreszcie odezwał się pułkownik.

- Tę całą historię można scharakteryzować jednym zdaniem francuskiego pisarza: „Nie morderca jest winien, lecz zamordowany”. I gdyby nie fakt, że Krzycki próbował zwalić winę na własną żonę mógłbym go nawet żałować.